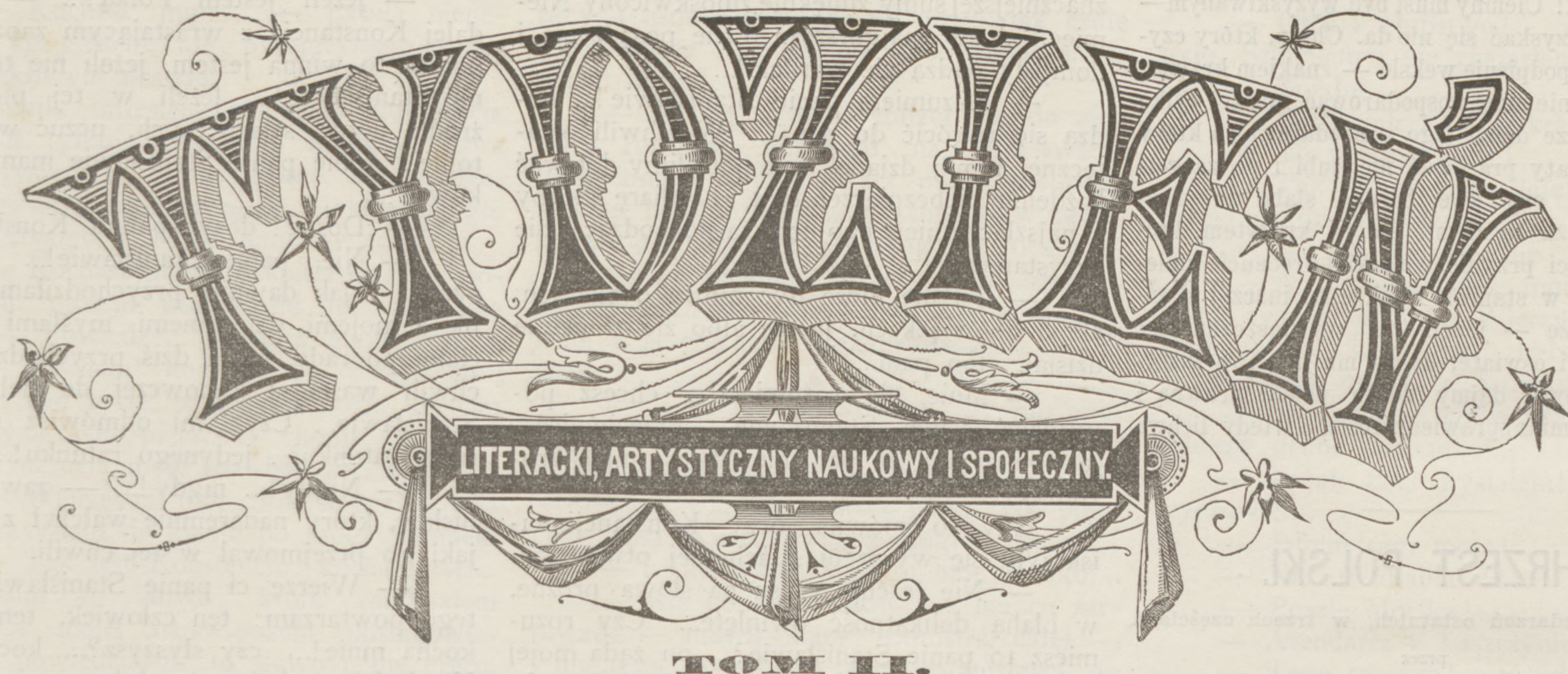
Nr. 40. Lwów, Niedziela dnia 3. Października 1875 r. **Rok II.**



TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XL.

W SPRAWIE LICHWY.

Kwestja socjalna, w tej formie w jakiej się ona na Zachodzie przedstawia, z coraz groźniejszem tam występując obliczem, u nas prawie nie istnieje. Nie masz w naszym kraju wielkich zakładów fabrycznych i tak silnie jak na zachodzie wyrobionego industrjalizmu wyzyskującego krwawą pracę robotnika. Nasz warstatowy i nieliczny fabryczny robotnik jeszcze na szczęście nie jest uważanym jako pociągowe bydło, jako maszyna o takiej a takiej sile, jeszcze w nim ludzka godność i ludzkie potrzeby znajdują pewne ze strony przedsiębiorców uwzględnienie. Asocjacja, która ma w części przynajmniej zaradzić złemu tkwiącemu w dzisiejszych stosunkach między przedsiębiorcą a robotnikiem, powstała na Zachodzie w chwili, gdy kwestja robotnicza już w całej swej grozie się pojawiła. U nas to, co tam miało być lekarstwem przeciw już silnie rozwiniętej chorobie, przyszło jako przezerwatywa, mająca ustrzedz od rozwoju choroby, a przynajmniej znacznie załagodzić jej pierwsze pojawy — stowarzyszenia robotnicze bowiem szerzą się i działają u nas, zanim jeszcze kwestja robotnicza w całej grozie swej pojawić się mogła.

Innego jednak rodzaju kwestja socjalna nawidziła organizm nasz społeczny — innego rodzaju choroba wyniszcza jego soki żywotne: lichwa. Jest to także walka kapitału z pracą — kapitału reprezentowanego przez niesumiennych lichwiarskich wyzyskiwaczy, z pracą rolnika naszego i drobnego rzemieślnika, których kapitał w ziemi lub warstacie tkwiący tak jest drobny, że z nich każdy jest właściwie robotnikiem. Walka tem straszniejsza, że kapitał ten, który w formie lichwiarskiego kredytu użycza się drobnym rolnikom i rzemieślnikom naszym — znajduje się w ręku ludzi bez iskry sumienia, którzy bardzo drobnemi rozporządzając środkami, a pełni żądzy pomnażania takowych, wyzyskiwanie uczynili zawodem swym, niecną specjalnością, całą swą inteligencję, całą przebiegłość, wszelkie siły umysłu i każdą chwilę życia w to tylko wkładając, by z ofiary swej wszystko, co tylko się da, wycisnąć. A ofiara ta z zawiązanemi oczyma sama na rzeź idzie, sama się pod nóż oprawcy podaje. Gdy tam przebiegłość i chytrość wężowa — tutaj prawdziwie słowiańska dobroduszność — tam ścisłe obliczenie możliwych strat i zysków, tutaj lekkomyślność do najwyższego posunięta stopnia — tam znajomość praktyki prawnej z jej najgorszej strony, bo ze strony kruczków i wykrętów, tutaj zupełny brak tej znajomości i brak nawet wszelkiej prawnej pomocy. Bo lichwa ma potężnego sojusznika w pokątnem pisarstwie, szczególniej na wsi rozwielmożonem potężnie: narzuci się ono z pomocą — a w istocie działa w interesie lichwiarza.

W walce tak nierównemi prowadzonej siłami, nic dziwnego, że zwycięstwo jest i być musi po stronie lichwy. Toż widzimy iż dzisiaj poczyna ona już święcić swój najwyższy tryumf w wywłaszczeniu. Coraz więcej rodzin włościańskich wyrzuconych z własności tej ziemi, którą ojcowie ich i dziady krwawym uprawiali potem, coraz więcej na ich miejscu osiadłych lichwiarskich rodzin żydowskich. Gdybyż przynajmniej miejsce rolnika niedbałego i nieumiejętnego zajmował rolnik lepszy — gdyby zresztą dokonywująca się przemiana była przejściem ziemi z rąk czysto rodzinnych w czysto rodzinne ręce! Ależ tak nie jest. Żyd na roli nie będzie lepiej gospodarował jak nasz włościanin, owszem gorzej jeszcze, bo tego on nie umie, to nie jego zawód, to nie — spekulacja. A że asymilacja żydów i zlanie się ich z żywiołem rodzinnym narodowym dotąd jeszcze zbyt małe uczyniły postępy, że owszem żydzi we względzie narodowym i politycznym po największej części ku obcym grawitują kierunkom, że skutkiem tego ta przemiana właścicieli w naszym narodowym bilansie nie jest cyfrą obojętną, ale owszem wielkie w nim przedstawia minus, tego chyba dowodzić nie potrzeba. Kwestja lichwy zatem przedstawia się już nie tylko jako socjalna, ale też i jako narodowa sprawa.

To też w ostatnich czasach coraz żywiej się nią u nas zajmują, rozliczne podają środki, mające lichwie zapobiedz. Nie naszą rzeczą wdawać się w ich szczegółowy rozbiór — wystarczy wskazać tylko na te, które naszem zdaniem najpewniej do celu wiodą — i wezwać wszystkich ludzi dobrej woli by się gorąco środków tych jęli. Środek ustawodawczy, jakim byłoby w myśl wniosku sejmowego, odmówieni egzekucji lichwiarskim procentom — zostawiamy na uboczu, ponieważ użycie jego już nie od nas samych zależy.

Opinja publiczna powinna się w tym kierunku silnie wyrazić, i na sfery decydujące wywrzeć wpływ pożądany. Bo jakkolwiek przekonani jesteśmy, iż ten środek sam jeszcze bynajmniej kwestji nie rozwiązuje, że zawsze jeszcze znajdą się sposoby obejścia ustawy — to jednakże trzymając się zasady, iż żadnego środka odrzucać nie należy, radzimy i tego próbować. I spodziewamy się, że sądy, które z polecenia ministerstwa sprawiedliwości mają w tej sprawie wydać opinję, wydadzą ją w duchu sejmowemu wnioskowi przychylnym.

Drugim środkiem przeciw lichwie jest energiczne postępowanie sądów w sprawie oszustw, przy interesach lichwiarskich aż nazbyt często popełnianych. Poskromiłoby ono tem niezawodnie zuchwałość lichwiarzy, która w ostatnich czasach już wszelkie przekroczyła granice.

Najważniejszym jednak, najpewniej do celu wiodącym środkiem jest zakładanie kas stowarzyszeń zaliczkowych, przystępnych dla ludu wiejskiego po gminach i powiatach sądowych. Tylko konkurencją uczciwie udzielanego kredytu pobijemy wyzyskiwanie. Jest to „klin klinem“— ale w dobrem tego słowa znaczeniu. Tutaj nie potrzebujemy się udawać pod opiekę ani ministerstwa, ani władz administracyjnych, ani sądów, tu własna działalność społeczeństwa wystarcza, a zasada „self—help“ — pomagaj sobie w całej pełni objawić się tu może. Kilku ludzi dobrej woli w każdym powiecie — a zobaczylibyśmy po latach kilku, jakby się zmieniła postać rzeczy w kraju, zarzuconym siecią takich instytucyj.

A wreszcie — oświata! Powolny, ale jakże

pewny środek! Ciemny musi być wyzyskiwanym— oświecony wyzyskać się nie da. Chłop, który czytać nie umie, podpisuje weksle — znakiem krzyża; chłop, który nie umie gospodarować inaczej tylko tak, jak jeszcze dziad jego gospodarował, a który z braku oświaty pracować nie lubi i po za rolnem zajęciem siły swe bardzo słabo zużytkowuje — obciąża tę ziemię swoją kredytem, którego wysokości przy lichwiarskim procencie zmierzyć nie jest w stanie! I jakże to inaczej skończyć się może — jeżeli nie wywłaszczeniem? Dajmy ludowi oświatę, dajmy mu uczciwe instytucje kredytowe, dajmy dobrą pomoc prawną i sprężysty wymiar sprawiedliwości, a wtedy lichwa zniknie.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

VII.

Szerzej nieco opisawszy Stanisława Wydrę, który nie jest urojonym ideałem, ale typem prawdziwym, jaki dziś łatwo spotka każdy, kto spotkać chce, wracamy do jego rozmowy z Konstancją.

Już przestała mówić, a Stanisław stoi jeszcze z oczami w dół spuszczonemi, milczący. Wzruszenie wewnętrzne, jeżeli go doznawał, objawiało się tylko większym niż zwykle rumieńcem. Zdawało się zaprawdę, że cała krew mu uderzyła do głowy. Konstancja patrzyła na milczącego z wyrazem na pół pytającym, na pół lękliwym prawie!...

— Panie Stanisławie! — rzekła wreszcie głosem cichym.

Stanisław podniósł głowę, lecz oczy zostały spuszczone, jakby się obawiał spojrzeć na nią. I próbując uśmiechu, wyrzekł wreszcie:

— To są próżne groźby chciwego urzędnika moskiewskiego!... Mnie się zdaje, że się ich obawiać nie trzeba.

— Ja się nie boję! — odpowiedziała Konstancja, i oko jej zalśniło wyrazem, pełnym tej siły duszy, która się malowała na pięknej twarzy.

— Pan Stanisław mnie nauczył — dodała z uśmiechem słodkim, prawie zalotnym — że Polce bojaźń nie przystoi.

— Ja się też źle wyraziłem — odrzekł na to Stanisław. — Chciałem tylko powiedzieć, że groźby tego Moskala, w niczem ani pani ani jej ojcu strasznemi być nie mogą.

— On zdaje się wiedzieć!...

— Nic pewnego nie wie!... może się domyślać...

— Panie Stanisławie, nie zupełnie szczerze mówisz ze mną. Znamy wszyscy przecie, czem jest domysł, czem posądzenie tylko u Moskali!

— I w takim razie niebezpieczeństwo posądzenia nie może dotknąć pana rotmistrza, a tem mniej pani... Nasz sprawnik zanadto jest chciwy, i słusznie pani mu powiedziałaś, że to rzecz targu!... przed powabem znaczniejszej sumy zmięknie zmoskwicony Niemiec. A w najgorszym razie posądzenia i domysły dadzą się zwrócić!...

— Rozumiem panie Stanisławie!... dadzą się zwrócić do pana... W chwili ostatecznej i mój dziadek i ja potrafimy dotrwać każdemu niebezpieczeństwu, i na ofiarę choćby z najszlachetniejszego uczucia pochodzącą, nie przystaniemy!...

— Tu nie może być mowa o ofiarach, ale o obowiązkach. Ja się albo źle tłumaczę dzisiaj, albo pani...

— Mnie nie rozumiesz!... chcesz powiedzieć panie Stanisławie... Przeciwnie!... ja powtarzam, że pan nie chcesz mnie zrozumieć.

Gdy to mówiła, oczy Konstancji zaiskrzyły się wyrazem szlachetnej otwartości.

— Nie traćmy czasu na słowa próżne, w błahą delikatność owinięte... Czy rozumiesz to panie Stanisławie?... on żąda mojej ręki!... Czy rozumiesz to panie Stanisławie?..

— To komedja!...

— Tragiczna to komedja!... Pan go nie słyszałeś, gdy mi powiedział że mnie kocha!...

— On śmiałby!... — zakrzyknął na to Stanisław i podniósł oczy roznamiętnione, aż mu żyły na szerokie czoło wybiegły.

— I pan myślisz, że ten człowiek cofnie się przed myślą, którą się raz zaprzątnął? On się nie cofnie przed żadną ostatecznością.

— Nie, panno Konstancjo!... on!... nigdy!...

— Nie będzie moim mężem!... ja to wiem najlepiej!.. I dla tego chciałam z tobą pomówić, panie Stanisławie... twojej zasięgnąć rady!..

— Mojej rady?...

— A od kogoż lepszej spodziewać się mogę rady, jeżeli nie od ciebie panie Stanisławie?...

Zatrzymała się chwilę, i przystąpiwszy jeszcze bliżej do niego położyła rękę swą na ramieniu Stanisława, z wyrazem serdecznego, dziecinnego prawie zaufania.

— Czyliż nie od małego dziecka przyzwyczaiłam się twojej, panie Stanisławie, słuchać rady prawdziwej!... Ja nic nie zapomniałam!... nie!... odkąd małemu dziecku, sam małym jeszcze chłopczykiem podawałeś rękę, by pierwsze dziecinne prowadzić kroki....

— Panno Konstancjo! — zawołał Stanisław, i walcząc z uczuciem rozrzewnienia, przycisnął ręce do piersi swoich.

— Tyś, panie Stanisławie, ile razy przybyłeś ze szkół, uczył mnie pierwszy myśleć i czuć, przesuwając przed umysłem młodego dziewczęcia najbogatsze skarby, czerpane w cudnej poezji naszej, i jeszcze cudniejszych dziejach naszej bohaterskiej przeszłości.

Konstancja mówiąc to, miała w oczach rozpłomienionych wyższym zapałem, łzy rozczulenia. I ujęła go za rękę.

Tego było za nadto dla Stanisława. Porwany szałem chwilowym ujął podaną rękę i przycisnął do ust swoich, lecz szał ten trwał chwilę tylko. Jakby przestraszony nawałem własnych uczuć, opuścił rękę i cofnął się parę kroków.

— Jeżeli jestem Polką!... — mówiła dalej Konstancja z wrastającym zapałem, — komuż to winna jestem, jeżeli nie tobie panie Stanisławie!... Jeżeli w tej piersi bije źródło uczuć szlachetnych, uczuć wyższych, tobie... tobie panie Stanisławie mam podziękować!...

— Dosyć! dosyć panno Konstancjo!...

— Nie, panie Stanisławie!... nie dosyć!... I jak dawniej przychodziłam do ciebie z mojemi dziecinnemi myślami i uczuciami po radę, tak i dziś przychodzę w tej chwili ważnej i stanowczej do ciebie panie Stanisławie. . Czyż mi odmówisz rady... i może ratunku?... jedynego ratunku!...

— Nigdy!... nigdy!... — zawołał Stanisław, który nadaremnie walczył z zapałem, jaki go przejmował w tej chwili.

— Wierzę ci panie Stanisławie, i dla tego powtarzam: ten człowiek, ten Moskal kocha mnie!... czy słyszysz?... kocha mnie. Nie byłabym kobietą, gdybym nie widziała w jego oczach... że... że prawdę powiedział...

— Ja go zabiję!... — krzyknął Stanisław, nie mogąc się już dłużej powstrzymać.

— I innej nie masz rady?... — rzekła Konstancja głosem dźwięcznym i donośnym, i spojrzała oko w oko!...

Nastało milczenie chwilowe. Konstancja widząc jak okropnie zbladł Stanisław, mówiła dalej:

— On nie cofnie się przed żadnym występkiem by dopiąć celu swego!... I dziadka i ciebie zniszczy! i sięgać będzie po moją rękę!...

— Chyba?... — wyjęknął Stanisław, walcząc do ostatka z uczuciem, jakie w nim wrzało...

— Chyba, że ta ręka cudzym będzie przykuta pierścieniem!...

Stanisław zadrżał okropnie! — Straszna była bladość na jego twarzy!...

— Jestże inna rada? — przemówiła Konstancja cichszym głosem i zadrżała także.

— Tak jest!... tak w samej rzeczy!... — odpowiedział Stanisław głosem równie cichym i jeszcze więcej drżącym... — Pani masz słuszność!... — mówił dalej. — Pani pójdziesz za mąż... pójdziesz za...

— Za?... — wyszepnęła Konstancja pytającym i ledwie dosłyszanym głosem; spuściła oczy w ziemię, i biała suknia drżała widocznie na wzruszonej piersi.

— Pan Artur!... kuzyn pani!... kocha panią... stara się już dawno o rękę panny Konstancji!...

— Kto?... ten salonowiec bez głowy!... i serca!... ten dwustołkowy Polak, udający patrjotę? I ty mnie to radzisz, panie Stanisławie?...

— Ja nie radzę!... nie radzę!... ale!...

— Więc ty mnie nie kochasz Stanisławie!?... — zawołała Konstancja z wyrazem niewymownej czułości.

Śliczną była Konstancja w tej chwili! śliczna urokiem uczucia, zapału i energji!... Uczuł Stanisław ten urok porywający i niezwyciężony, i musiał uledz, mimo wszelkich postanowień, które nadaremnie chciał wywołać do niepodobnej już walki.

— Kocham.... kocham!... — wykrzyknął i porwał ją za obydwie ręce, które wyciągnęła ku niemu.

— Kochasz mnie?... — pytała niepewnym już głosem, ale pytającym, nieśmiałym, lękliwym prawie.

Chwila uniesienia wionęła. Konstancja była już tylko dziewczyną lękliwą, która chce słyszeć to słowo urocze, słowo przenoszące najwyższe szczęście, i lęka się go, i rada słyszeć, i ledwie śmie uwierzyć...

— Kochasz mnie Stanisławie? — powtórzyła głosem prawie do łez rozczulonym. — Powiedz!... powtórz Stanisławie!...

— Kocham! kocham cię Konstancjo! kocham nad życie, nad wszystko!... kocham od dawna, od pierwszej chwili, gdy się myśli i uczucia moje rozwijać zaczęły.

— Wierzę ci mój Stanisławie! i dla tego przyszłam do ciebie po radę i ratunek.

— Tak jest Konstancjo! kocham cię!... powtarzam to słowo, które zamknąłem w piersi mojej najświętszem postanowieniem!... powiedziałem to słowo pełne czaru, boś tego chciało Konstancjo!.. ale pozwól...

— Nic nie pozwolę, mój Stanisławie! nie ma żadnego ale... — odpowiedziała Konstancja głosem pełnym pieszczącej czułości, i łzę miałą w oku, a uśmiech na ustach. — Oświadczyłeś się mnie, a teraz wypada żebyś się oświadczył dziadkowi memu...

— Ja, rotmistrzowi?...

— Jak sam widzisz nie ma czasu do stracenia!... jeżeli mam uciec przed miłością Moskala...

— Ale rotmistrzowi ja mam powiedzieć!.. ja, który jemu winien jestem... tyle!... syn!... tego, który!...

— Mój Stanisławie!... gniewałabym się na ciebie, gdybym cię nie rozumiała lepiej!... Ale mnie się zdaje, że ty mój drogi, nie chcesz rozumieć, ani mego dziadka, ani twojej Konstancji!... ani co gorzej tych chwil wielkich stanowczych, ku którym idziemy!... Czyż to dziś, stojąc u progu tej przyszłości ojczystej, której ty jesteś jednym z pierwszyeh pracowników, możemy tracić czas nad błahemi różnicami stanu i urodzenia!... nad temi pozostałościami czasów naszej hańby i niewoli!... Dziś jeszcze możemy chwilę poświęcić naszej miłości!... w niej czerpać będziemy siły do walki jutrzejszej!... bo jutro syn chłopa i dziecię senatorskie stanąć powinni zarówno w usiłowaniach jednych!... Podaj mi rękę kochany Stanisławie!... dziś szczęśliwi miłością!... a jutro stokroć szczęśliwsi ofiarą...

— Konstancjo najdroższa!...

— To są twoje nauki!... jam twoja uczennica!... Albo chcesz może — dodała z wyrazem czystej, swobodnej wesołości — ażebym ja sama oświadczyła się dziadkowi o twoją rękę?...

— Konstancjo kochana!...

— Mogę to uczynić choćby zaraz, bo słyszę stukającą po ścieżce laskę dziadunia!.. idzie do nas właśnie.

— Nie, Konstancjo!... — przemówił prędko Stanisław, i przycisnął rękę narzeczonej do ust gorących — nie dziw się mi, jestem pomięszany, wzruszony!... zostaw mi czas!... ja sam pomówię!... Bądź pewna, najdroższa sercu memu, że ja tylko o twojem myślę szczęściu.

— Poczekam... ale nie długo!.., pamiętaj o tem! — rzekła, podnosząc palec grożący, i uśmiechnęła się do niego tak czule i wesoło, że się Stanisław mimowolnie uśmiechnąć musiał.

— W tej chwili zbliżył się do nich stary rotmistrz. Spojrzał na ich twarze uśmiechnięte, i choć twarz miał zasępioną, stuknął laską o kamienny schód z wyrazem na pół żartobliwym, i przemówił rubasznie:

— To pięknie! panie i dobrodzieju!... Asaństwo tu się śmiejecie i gwarzycie wesoło, a ja czekam i czekam na pana Stanisława...

— Ja to go zatrzymałam, by mu opowiedzieć szczęście, jakie mnie dziś spotkało ze strony całkiem niespodziewanej.

— A widziałem przez okno, jak odjechał nasz Kurlandczyk z długim nosem!...

— I z koszykiem ładnym, mój dziadku!...

— Ale koniec końców nie ma co żartować! — mówił stary rotmistrz dalej — i dla tego powołałem pana Stanisława do rady, i panie i dobrodzieju, stary się niecierpliwi... a oni gawędzą!...

— Proszę dziadzia, i ja się także o radę pytałam pana Stanisława!...

— I cóż?... dałeś asindziej dobrą radę? — pytał stary z przyciskiem ciągle rubasznym...

— Panna Konstancja żartuje!..

— Djabła tam, panie i dobrodzieju!... tu nie ma żartów, z tym zapalonym Pawłem Onufryjewiczem... No, chodźże teraz asindziej ze mną.

I przyjąwszy podaną sobie z uszanowaniem przez Stanisława rękę, szedł stary ku domowi. Konstancja jeszcze została przy kapliczce. Czuła się tak jakoś szczęśliwą i spokojną w tej chwili, że uczuła potrzebę modlitwą podziękować Boskiej rodzicielce, orędowniczce swojej, do której od dziecka miała wiarę pobożną.

Gdy już nieco oddalili się, rotmistrz obejrzawszy się raz jeszcze, przemówił cichszym głosem.

— Udawałem wesołego, by się dziewczę jeszcze więcej nie zastraszyło, ale asindziejowi, mój panie i dobrodzieju, powiem, że bieda panie!.. słowo waści daję, bieda!... Ten przebrzydły Kurlandczyk!... wie wszystko.

— Domyśla się!...

— Ale gdzie tam!...

— A chociażby!... śladów nie ma żadnych, i właściwe posądzenie na mnie tylko paść może!... o mnie mniejsza... ja się jakoś wywinę...

— Głupiś asindziej... albo głupiego udajesz!... Najprzód mój panie i dobrodzieju, ja bym ofiary żadnej nie przyjął — mamy mospanie wisieć to razem — a potem, czy nie znasz moskiewskiego rozumu?... już nas wszystkich nie popuści sprawnik!... a wreszcie!... niech to będzie między nami... głupstwo się stało...

— Cóż takiego?!...

— Ma Moskal więcej jak ślady...

— Więcej jak ślady?...

— Ma dowody!...

— Dowody?... jakie?...

— Jak wyszedł sprawnik... chciałem zniszczyć to pismo organizacyjne, któreś mi przywiózł z Warszawy....

— Nie było jeszcze zniszczone?...

— Otóż i głupstwo!... właśnie że nie było. Szukałem i nie znalazłem.

— Znikło?..,

— Jak kamfora!... wykradł ktoś!...

— To pewnie Piotr!...

— Tak i mnie się zdaje!.. Sprawnik przekupić go musiał.

— Ja mu zawsze nie dowierzałem...

— A przestrzegałeś mnie asindziej!... hultaj zyzem patrzy!... Wierzyłem mu, bom hultaja z błota wyciągnął... Lecz się już stało!.. Teraz trzeba myśleć o ratunku.

— Sprawnika trzeba przeku zobaczy grube pieniądze!...

— I jak tak myślałem!.. ale kogo wyprawić?...

— Jabym sam może!...

— Nie, to djabła warto!..,

— Poszlę Mortka!...

— Arendarza z Łaszczyniec?...

— Tego samego!... to zdaje się śmiały żyd...

— Ręczę za niego jak za siebie!... on najczynniejszy teraz w organizacji.

— O mój Boże! dzięki tobie! — przemówił stary wznosząc w niebo oczy! — To twój palec wyraźny, kiedy już i żydzi z nami trzymać zaczynają. A więc trzeba się poradzić i szybko zdecydować. Chodź asindziej do mego pokoju.

I weszli obydwaj do domu.,

(C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

V.

Jedność włoska.

Komu zawdzięcza jedność włoska swoje istnienie?

Geograficznemu położeniu — wytrwałości przewódzców stronnictwa postępowego — i genjalności jednego męża stanu.

Chociaż nie piszę historji, opowiem to pokrótce.

Jest półwysep, tworzący serce Europy, o którego posiadanie przez długie wieki walczyły ludy rozliczne. To Italja.

Miljony, opuściwszy stare siedziby u podnóża Himalajów, w których im było za ciasno, spieszą na Zachód szukać nowej ziemi, a że w wędrówkach narodów powtarza się zawsze jedno prawidło, mianowicie iż ludy strefy gorącej szukają powietrza ciepłego, a umiarkowanej lub zimnej umiarkowanego lub zimnego — tak Anglicy, Niemcy i Holendrzy ciągnęli zawsze w umiarkowaną strefę Ameryki, a Hiszpanie, Włosi i Portugalczycy wybierali jej prowincje ekwatorjalne, — przeto i ludy indyjskie minąwszy zimne równiny Europy, podążyły ku Grecji, Italji i Hiszpanji, których klimat w części przynajmniej przypominał im klimat ojczysty. Żadna historja nie powie, kiedy nastąpiła ta pierwsza wędrówka ludów indo-germańskich. Jest ona tak dawną, że do ostatnich jeszcze czasów badacze dziejów utrzymywali, iż przed Etruskami półwysep Ape-

*

niński był zamieszkały tylko przez autochtonów, tj. lud, który na tej ziemi sam przez się powstał.

Po tych pierwszych ciągną Etruskowie, Fenicjanie, Grecy, Germanie, Longobardzi, Normandowie, Saraceni, Hiszpanie, Anglicy i inni, a między nimi od północy nawet Sławianie. Oto ludy, które pragnęły posiąść tę piękną i bogatą ziemię. Każdy z nich zostawia na półwyspie odłam swego organizmu, a z nim swoją krew, swoje pojęcia, swój język. Tak powstaje chaos. Jednolitego ludu italskiego nie ma jednak — są tylko rozmaite ludy italskie.

Z biegiem czasu atoli warunki klimatyczne działają mniej więcej równo na te liczne szczepy, a cywilizacja Romy i jej język urzędowy udzielają się w części każdej jednostce. Tak od Alp do Tarentu tworzy się pozornie jedna rasa. Pozornie tylko, bo w ciągu kilkunastu wieków klimat nie przeistoczy większych mas zbiorowych do szpiku i kości; nie zabije w ich pamięci wszystkich wspomnień; nie wykorzeni z ich krwi pierwotnych skłonności, nie zmieni ich języka tak, aby macierzyńskiego nawet ślady zaginęły. Na to potrzeba lat tysięcy i jednolitego ustroju państwowego.

Różnica między pojedynczemi ludami włoskiemi, podtrzymywana zewnętrznemi najazdy, i samolubstwem licznych panów w wiekach średnich, z których każdy chciał, by jego miasto będące państwem samodzielnem, uważało się także za naród odrębny — trwała bardzo długo, prawie do dni naszych. Ale w ostatnich wiekach różnica nie była zasadnicza, i na półwyspie mieszkała już rasa pozornie jednolita.

Tyle zdziałało położenie geograficzne.

W owej opoce narodowego fermentu znaleźli się wielcy ludzie, który powiedzieli, że część ziemi tworząca całość odrębną, zamknięta z trzech stron morzem, a z czwartej górami, powinna stać się jednem ciałem państwowem, a ludy na niej mieszkające jednym narodem. A gdy ziemia nazywa się *Italia*, więc jest mieszkańcy niech się nazwą *Italiani*. Nie swoje więc imię szczep ziemi nadawał, ale ziemia miała dać swoje sztucznemu szczepowi, który dopiero na niej się tworzył.

O takiej jedności narodowej marzył już Dante — a o państwowej Macchiavelli.

W ciągu kilku wieków myśl zuchwale rzucona zaczęła się przyjmować i rozrastać. Wyższe umysły widząc, że kraj tak piękny ulega bezustannym najazdom obcych mocarzy, postanowiły pracować około utworzenia jednego państwa, któreby cudzym monarchom mogło czoło stawić. Dawne złe staje się teraz dla nich korzystnem. Liczni potentaci w zamierzchłej przeszłości, pozakładali na półwyspie miast bez liku, w których powstała warstwa społeczeństwa więcej oświecona jak lud na prowincji. Był to stan średni, warstwa społeczeństwa nie bardzo wykształcona, ale za to bardzo liczna. Kto ckolwiek posiada, chętnie godząc się z każdym stanem rzeczy, chociażby najgorszym, sprzeciwia się wszelkiej odmianie. Stan średni natomiast złożony z ludzi bądź umysłowo, bądź fizycznie pracujących, a więc nie mający żadnej własności, marzy o lepszem jutrze. To też tylko ten stan wyrokuje zawsze o losach narodów. We Włoszech pochwycił on skwapliwie myśl zjednoczenia, i nie przestał się nią zajmować, póki nie stała się żywem ciałem. Kto przebiegł dzieje literatury włoskiej w bieżącem stuleciu, ten się przekonał, że w tym czasie na półwyspie nie napisano ani jednej książki — mamy tu na myśli prowincje, w których wolno było pisać swobodniej — aby w niej nie było przynajmniej wzmianki o potrzebie zjednoczenia Italji. Ta tendencja przebija się wszędzie: w dramacie, poezji, powieści, nawet filozofji, a lubo na tem traciła sztuka, pisanie bowiem dla tendencji samej szkodzi najczęściej surowym piękna wymaganiom, za to zyskiwała sprawa, około której krzątał się cały stan średni. Od przewódzców szło hasło, które ogół na wsze strony roznosił. Włoch jest z natury cierpliwy i wytrwały. Uzbrojeni w te cnoty naczelnicy stronnictwa ruchu przygotowali ziemię pod ziarno, które niebawem miało wydać plon obfity.

Tyle zdziałali przewódzcy obozu postępowego. Do nich należeli za naszej pamięci:

Manin — Mazzini — Garibaldi.

Zaświtał r. 1848.

Na północy panowali Austrjacy; poniżej despotyczni książęta, których Austrja podtrzymywała; w środkowych Włoszech teokratyczny Rzym, a w południowych absolutni Burboni. Wszystkie te rządy, czując wulkan pod sobą, chciały go zagasić banicją, więzieniem, rusztowaniem. Siła brutalna zawodzi jednak w takiem położeniu. Wulkan zamiast zgasnąć huczał coraz gwałtowniej, grożąc każdej chwili wybuchem. Gdy w r. 1848 cała Europa zadrżała, Józef Mazzini łudząc się nadzieją, że z wszystkich włoskich potentatów jeden papież mógłby zjednoczyć Italję, udał się z prośbą do Piusa IX aby zajął się urzeczywistnieniem tej szczytnej idei. Wybór był atoli niestosowny. Władza teokratyczna nie mogła energicznie wystąpić przeciw tradycji, bo bez tradycji jej samej nie ma. Papizm przeistaczając na półwyspie stosunki społeczno-polityczne, musiałby był równocześnie przeistoczyć siebie, stosując swoje pojęcia do wymagań postępu. Taki czyn mógł spełnić tylko genjusz, a na stolicy Piotra genjusz wtedy nie zasiadał.

Znalazł się wszakże inny monarcha, który odważnie podjął myśl, potępioną przez włoskich tyranów.

Był nim Karol Albert, z domu Sabaudzkiego, król Sardynji.

Nie wielkie to państwo, mniejsze jak dwie prowincje, które posiadali sami Austrjacy, ale zacny dom Sabaudzki zaprowadził w niem ład wzorowy, a pozwalając wszystkim poddanym żyć i pracować jak żyła i pracowała Europa cywilizowana, zaskarbił sobie ich serca. Sardynja, zwana inaczej Piemontem, była rajem w porównaniu z innemi państwami na półwyspie.

Król tej małej ziemi podniósł odważnie sztandar zjednoczenia Włoch, i rzucił się na Austrjaków, jako na tych, od których siły w mniejszym lub większym stopniu zależała siła reszty włoskich potentatów. Szczęście nie posłużyło. Mimo bohaterskich wysileń, armja Karola Alberta uległa przemocy, a on sam musiał złożyć koronę.

Po stłumieniu ruchu z r. 1848, w całych Włoszech zapanowała najstraszniejsza reakcja.

Każdy obywatel miał przy swym boku ajenta, nikt nie był jutra pewnym. Wystarczało podejrzenie, prosty donos, aby utracić wolność, majątek, a nawet życie. Szkoły były puste, literatura i sztuka nie dawały znaków życia, handel obumarł, rolnictwo upadało. Stan był okropny. Wtedy oczy wszystkich zwróciły się na to małe królestwo, na ten Piemont, który w r. 1848 tak zuchwale podjął sprawę zjednoczenia Italji.

Nadzieje nie zawiodły.

Nowy król nie wyrzekłszy się idei, której jego ojciec wszystko poświęcił, stał się jawnym przedstawicielem moralnych zdobyczy ostatniej rewolucji. Każdy z jego poddanych był obywatelem wolnym; nauki, literatura i sztuka cieszyły się opieką rządu, w całej Sardynji była zaprowadzona wzorowa administracja. Ci, którzy w innych państwach włoskich nie mogli znieść gniotącego ich jarzma, spieszyli tłumnie do Turynu, a rząd Wiktora Emanuela wszystkich przyjmował.

Piemont postępujący tak liberalnie, był solą w oku Austrji, która dobrze czuła na co się zanosi.

W r. 1852 Wiktor Emanuel powołał do swego boku hr. Kamila Cavour.

Nowy prezydent gabinetu prędko zrozumiał, że jeżli królestwo Sardyńskie ma zjednoczyć Włochy, musi oglądnąć się za potężnymi sprzymierzeńcami, ponieważ samo jest za słabe. Sprzymierzeńcy byli tem potrzebniejsi, ile że Austrja i Rzym obawiając się liberalnej propagandy płynącej z Turynu, groziły bez przerwy rządowi Wiktora Emanuela.

Odtąd rozpoczyna się dyplomatyczna działalność genjalnego Cavoura.

Kto mógł być sprzymierzeńcem Sardynji? Ani reakcyjna podówczas Austrja, która we Włoszech chciała sama panować; ani monarchiczne Prusy, które przygotowując się powoli do zjednoczenia Niemiec, nie mogły wtedy rzucać losów swoich na kartę; ani monarchiczna Rossja, której potrzeba nie ciągnęła do Italji; ani monarchiczna Turcja, która we własnym domu miała zawsze nie mało kłopotów; ani bogata Anglja, która myśląc o zysku nigdy się nie awanturuje; ani nareszcie Hiszpanja, w której panowali kuzyni królów neapolitańskich. Z Sardynią mogła się zatem połączyć tylko republika, lub monarcha, który rewolucji zawdzięczając istnienie, jako taki potrzebował sam sprzymierzeńców dla utrwalenia swoich rządów i dynastji, wśród królów europejskich z „łaski bożej“ patrzących krzywo na parwenjusza.

Republiki nie było — malutka Szwajcarja zaledwie może myśleć o sobie — ale znalazł się taki monarcha.

Był nim cesarz Francuzów, Napoleon III.

Usiadłszy na tronie wbrew brzmieniu traktatu wiedeńskiego, którego strzegło Św. Przymierze, musiał przyjść z czemś nowem, a popularnem, aby pozyskać przynajmniej sympatje ludów, kiedy jako uzurpator nie mógł liczyć na przyjaźń dziedzicznych monarchów. Napoleon III przedstawił się też jako reprezentant „idei narodowościowej,“ którą zrodził r. 1848. Sardynja była propagatorką tej samej idei na półwyspie Apenińskim. Oto pierwsza siła moralna, która torowała drogę do sojuszu między Napoleonem III a Wiktorem Emanuelem. Siły moralne nie wiele jednak znaczą, gdy idzie o sojusz między dwoma państwami. Zawsze i wszędzie będzie w takich wypadkach rozstrzygała wspólność interesów. Wspólność się znalazła, gdyż Wiktor Emanuel szukał sprzymierzeńca, aby opanować Włochy, a Napoleon III także go potrzebował, raz, że w monarchicznej Europie był osamotniony, a powtóre, że gorących Francuzów wypadało przekonać, iż idea narodowościowa, którą stworzyli ich myśliciele, nie jest dlań parawanem, ale celem życia.

Gdyby zamiast Napoleona III we Francji panował był cesarz lub król z „bożej łaski“ — jedność włoska byłaby do dnia dzisiejszego pięknem marzeniem patrjotów. Szczęśliwy zatem zbieg okoliczności torował drogę Cavourowi.

Przyszła wojna Krymska, w którą Napoleon wciągnął Anglję, aby w Św. Przymierzu zrobić pierwszy wyłom.

Podczas gdy najwięksi mocarze świata walczą pod Sebastopolem, Sardynja, ta malutka Sardynja, zbroi także garstkę żołnierzy i wysyła w pomoc sprzymierzonym. Na co? Po co? Zkąd Wiktor Emanuel do tego przychodzi? pytają wszyscy, bo nikt nie wie, że jest to pierwszy krok na drodze niebezpiecznej, który Cavour stawiał w porozumieniu z cesarzem Francuzów.

Kończy się wojna krymska, przedstawiciele stron wojujących zjeżdzają się w r. 1856 na kongres do Paryża, a z nimi zasiada do wspólnych obrad także Cavour, bo przecież i Sardynia wystąpiła w obronie całości granic państwa ottomańskiego! Pod koniec kongresu Cavour powstał i w świetnie wygłoszonej mowie skreślił rozpaczliwe położenie prowincji włoskich, jęczących pod panowaniem reakcyjnych Burbonów, papieżów i Austrjaków. Taki stan dłużej trwać nie może — sprawa włoska musi być załatwioną! Oto treść mowy tego genjalnego dyplomaty. Wprawdzie śmiałe jego wystąpienie na kongresie nie pociągnęło za sobą skutków bezpośrednich, przedstawiciele bowiem mocarstw w innej sprawie się zebrali — ale mimo to cel został osiągnięty, gdyż od tego dnia kwestja włoska była w Europie na porządku dziennym.

Po pierwszym kroku szczęśliwym nastąpił drugi.

W 1858 r. Cavour odwidził Napoleona w Plombières, gdzie cesarzowi Francuzów przyrzekł odstąpić Niceję i Sabaudję, obie prowincje więcej francuskie jak włoskie, za pomoc przeciw Austrji. Napoleon chętnie przystał na warunki, gdyż jak chciał przekonać Francuzów o prawdziwych swoich sympatjach dla idei narodowościowej, tak niemniej zależało mu na stworzeniu sobie sprzymierzeńca i zrobieniu nowego wyłomu w Św. Przymierzu.

Rok nie upłynął, a Sardynja podrażniwszy Austrję, zmusiła ją do wypowiedzenia wojny. Jak burza spadają francuskie legjony ze szczytu Mont-Cenis, biją Austrję na głowę w kilku walnych bitwach i zajmują całą Lombardję, którą cesarz Franciszek Józef oddaje w Villafranca Napoleonowi III, a ten wspaniałomyślnie robi z niej podarunek Wiktorowi Emanuelowi.

Kiedy trzy armje walczą na równinach Lombardji, książęta Parmy, Modeny i Toskany, którzy dotąd opierali się o Austrję, przestraszeni opuszczają swoje państwa. Ludność tych prowincyj, zentuzjazmowana zwycięztwami włosko-francuskich sztandarow, ogłasza natychmiast detronizację dawnych potentatów, i dobrowolnie łączy się z Sardynją. Wprawdzie według brzmienia układu w Villafranca i późniejszego pokoju Zurychskiego, zdetronizowani książęta mieli do swoich państw powrócić, ale Sardynja wiedząc, że Francja nie zechce gwałtem przeprowadzić restauracji, odmówiła swego podpisu na układzie, i tak została w rzeczywistem posiadaniu wszystkich tych prowincji. W dodatku dostała jeszcze papieską Romanję, która poszła za przykładem Toskany.

Takie było położenie na wiosnę w 1860 roku.

Dnia 6. maja r. 1860 Józef Garibaldi, popierany tajnie przez Cavoura, wypłynął z tysiącem ochotników z Genui, a wylądowawszy po pięciu dniach w Marsali, na zachodnim brzegu Sycylji, wypędził w dziesięciu tygodniach Burbonów z tej wyspy. Nie namyślając się długo, przeniósł się ze swoją armją na półwysep, a pobiwszy kilkakrotnie wojska Franciszka II, na dniu 7. września r. 1860 odbył wjazd tryumfalny do Neapolu. Równocześnie Umbrja i Marchja, należące jeszcze do państwa kościelnego, oświadczyły się za rządami Wiktora Emanuela. Mocarstwom europejskim nie podobało się to gwałtowne obalenie monarchów prawowitych; ale Cavour, który z Garibaldim szedł ręka w rękę, licząc na sympatje Napoleona III, nie zważał na innych mocarzy. Wiedział on, że fakt spełniony jest najlepszą polityką. To też zaledwie Garibaldi wjechał do Neapolu, wojska sardyńskie wkroczyły niezwłocznie w granice państwa kościelnego, a pobiwszy armję rzymską pod Castelfidardo i zdobywszy Anconę, zmusiły w lutym i marcu r. 1861 do kapitulacji Gaetę, Messynę i Civitellę-del-Tronto, w których zamknęły się niedobitki armji burbońskiej.

W ten sposób, z wyjątkiem Wenecji na północy, w której jeszcze Austrjacy panowali, i małej prowincji rzymskiej, w której papież utrzymał swoją władzę świecką, Włochy należały już de facto do Wiktora Emanuela, który d. 17. marca r. 1861 przybrał tytuł *Rè d' Italia* — króla Włoch.

Za ten czyn zuchwały, mocarstwa europejskie bardzo się gniewały; niektóre z nich ośmieliły się nawet wystąpić z protestem. Ale gdy po spełnionym fakcie Anglja, pomna swojej rewolucji z r. 1688, uznała nowe królestwo, gdy wkrótce po niej Napoleon III oświadczył, że restauracja dawnych włoskich potentów nastąpić nie może, Europa pogodziła się z nowym stanem rzeczy, i jeden rząd po drugim uznał króla Włoch.

W roku 1866 Prusy postanowiły złamać w Niemczech potęgę Austrji. Włosi korzystając z nadarzającej się sposobności, zawarli z niemi zaczepno-odporne przymierze, a chociaż na lądzie i morzu, pod Custozzą i Lissą zostali na głowę pobici, mimo to otrzymali Wenecję, ponieważ w układzie wyraźnie było powiedziane, że dopóki obadwaj sprzymierzeńcy celu swego nie osiągną, żaden z nich nie może zawrzeć pokoju na własną rękę. Austrja pobita na północy, chcąc się uwolnić od Prusaków, musiała zatem oddać Wenecję, aby pokój uzyskać.

Odtąd pozostawał Rzym tylko, w którym Napoleon III utrzymywał swoją załogę, aby we własnym kraju mógł za to liczyć na poparcie ultramontanów. Dzięki wytrwałym zabiegom włoskiej dyplomacji, Napoleon wycofał nareszcie swoją załogę, a gdy w r. 1870 między nim a Prusami wojna wybuchła, Wiktor Emanuel korzystając z dogodnej sposobności wkroczył do wiecznego miasta i papieżowi zostawił tylko Watykan.

Odtąd sztandar jego powiewa na szczycie Kapitolu.

Odtąd Italja jest zjednoczoną od Alp do Tarentu.

Któż teraz zaprzeczy, że jedność włoska zawdzięcza swoje istnienie położeniu geograficznemu, wytrwałości stronnictwa postępowego, i genjalności jednego męża stanu? Wprawdzie Cavour umarł przed spełnieniem całego zadania, ale jego następcy poszli w jego ślady.

(C. d. n.)

WYCIECZKI
na współczesny Parnas francuski.

Przez

J. S. Chamca.

(*Ciąg dalszy.*)

I.

Aleksander Dumas.

Przedstawione po wojnie w r. 1872 i 73im w teatrze „Gymnase“ dwa duże dramaty *Princesse Georges* i *La femme de Claude* były jak gdyby dalszym rozwojem tego samego szalonego tematu; a broszura *Tue la!* — o której mówiłem wyżej, ogłoszona mniej więcej w tej samej epoce, może być uważana za „ut“ tej antiniewieściej krucjaty.

Zabójstwo cudzołożnej żony, doraźny sąd męża, który prawo pozwala sobie czasem tolerować, Dumas radzi i usprawiedliwia. Nie myśląc wdawać się w żadne jurydyczno-socjalne dyskusje, sądzilibyśmy jednak, iż sprawiedliwość, wymierzona samemu sobie, zawsze jest zbrodnią, i chociaż czasem jako wynik gwałtownego starcia namiętności tolerowaną być musi, daleko jeszcze od tego do zapisania jej na kartach kodeksu, jako koniecznego i niezaprzeczalnego przywileju mężowskiego, a Dumas w broszurce swojej takim ją wyraźnie mieć zapragnął.

Zygzakami, pomału, lecz stale i ciągle ludzkość kroczy po drodze postępu i kara śmierci, ohydna spuścizna starożytności i średnich wieków, wcześniej czy później obaloną być musi. Społeczeństwo ma prawo wykluczania ze swego łona szkodliwych dlań i niebezpiecznych jednostek. Społeczeństwo nie ma atoli prawa uniemożliwiać tym jednostkom powrotu ku dobremu, karząc je doraźnie śmiercią. Chociażby zasada ta w zastosowaniu największym ulegała odmianom, chociażby dla rządzących społeczeństwami była zadaniem trudnem i niewygodnem do wypełnienia, mimo to sprawiedliwą jest w gruncie i jako taka uznaną być powinna,

Społeczeństwo mszcząc zbrodnię, gorszej od niej nie może popełniać. Być mordercą by ukarać mordercę? godnaż to, pytamy i zaszczytna rola?

Prawda ta jasna zawsze, stokroć jeszcze staje się jaśniejszą w łatwem do jednostek zastosowaniu.

Niesłusznie pokrzywdzony mąż, jeśli zabijając wiarołomną żonę lub jej uwodziciela sam sobie mniemaną wymierzy sprawiedliwość, z godnej współczucia i szacunku ofiary, staje się ohydnym i krwawym katem. Biorąc na rozwagę boleść i rozpacz, jakie go zazwyczaj do takiego popychają czynu, sąd ludzi pobłażliwym dlań być musi. Lecz czyż to racja? Po nad wyrokiem świata, stoi inny wyrok, wyrok własnego sumienia, a ten w chwili opamiętania skarze go na stokroć gorszą karę od śmierci, na karę wiecznej dla samego siebie pogardy.

O tej prawdzie autor broszurki *Tue la!* zapomniał, lub myśleć nie zadał sobie trudu. Szkoda! Toby mu może przeszkodziło było wyjechać z grzesznem i niedorzecznem piśmidłem.

A broszurka ta, zanotować trzeba, kilka różnych: *ne la tue pas!* i t. d. tak ze strony mężczyzn jak kobiet, mniej lub więcej udatnych, a dziś już zupełnie zapomnianych wywołała odpowiedzi.

Jednoaktowa w r. 1873 przedstawiona sztuczka *Une visite de noce* i w r. 1874 z wielkiem powodzeniem w „Gymnase“ odegrana komedja *Monsieur Alphonse* zdają się być pożądanym zwrotem ku dawnej manierze.

Pierwsza, nadto deklamatorska, przeciw dramatycznej zatem grzesząca formie, subtelnie analizuje pewne tajniki serca ludzkiego i właściwą wielom z nas zmienność uczuć chłoszcze ostrym satyry biczykiem.

Druga wywołując przed kratki opinji jeden jeszcze z wrzodów społecznych, prostytucję mężczyzn, przedstawiająca młodych panów jak na bogaty spekulują ożenek, lub w skandaliczniejszy jeszcze sposób kobiecym żyją kosztem, jest utworem bardzo moralnym i bardzo żywo i zgrabnie napisanym.

I to nas, jak widzicie, do ostatnich doprowadza czasów.

Żeby w tym przeglądzie literackiej działalności Dumasa, nie mieć sobie do wyrzucenia najmniejszej nawet usterki, wspominamy o *La Ligue et la Fronde* w *Gazette de France* i o *Lettres d'un provincial* w *La Presse*. Pod temi ogólnemi tytułami napisał on niemało tak historycznych jak politycznych, lub literackich artykułów.

Rzeczy te pisane pobieżnie, pod wpływem czasowych a więc minionych już okoliczności, nie wiele czem mogą zaważyć na szali sądów o jego talencie.

Nieszczęśliwa wreszcie, młodzieńcza próbka przerobienia dla sceny „Chateaubriand'owskiej“ *Atali* jeszcze w r. 1848, ogłoszona w *Théâtre historique*, a nie zasługująca na dłuższą wzmiankę, podjęte przez nas zadanie wyczerpie już zupełnie.

Wiem, że są osoby, które przypisują Dumasowi komedię *Le filleul de Pompignac* z ładnem odegraną powodzeniem w r. 1867, w teatrze „Gymnase“, a podpisaną nieznanem nazwiskiem „de Salin“. Uwzględniając powodzenie, wątpię by to był pseudonim Dumasa — *et dans le doute je m'abstiens*, jak mówią Francuzi.

Czas zatem od 1841 do 1875 roku daje nam oprócz dziennikarskich improwizacyj, 40 tomów romansów i powieści, nareszcie około 15 dramatów i komedji. Jak widzicie zbiór piękny i nie lada kto podobnym w połowie swego życia zdoła się pochwalić.

Nie tylko własnym gustem ale i ogólnem powodowani uznaniem, z całej tej tak dramatów jak powieści masy, wybieramy za temat obszerniejszych poglądów jedyny *Demi Monde*, poddając go szczegółowej analizie.

Nie idzie zatem by inne komedje, zwłaszcza *La question d'argent*, *Le fils naturel* lub *Monsieur Alphonse* były o wiele gorszemi i nie zasługiwały na ten sam honor! Bynajmniej! Sztuki to dobre, niepospolite, lecz ponieważ mówiąc o każdej z osobna, nieraz jedne i te same musielibyśmy powtarzać rzeczy, jedne i te same jasne lub ciemne wykazywać w nich strony, przeto wybraliśmy taką, która według ogólnego zdania najwięcej talentowi autora właściwych zawiera znamion, która zatem ten talent najlepiej zdefinjować i ocenić pozwoli.

Z produkcji każdego pisarza można tak wybrać jedno dzieło, stanowiące, że się tak wyrażę, serce artystycznej jego istności. Reszta to rzeczy często dobre, pełne zalet i wartości, lecz poniekąd drugorzędne, a więc jako takie niezdolne w sposób dobitniejszy zmienić sądu publiczności o talencie autora. (C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

III.

Podczas długich rozpraw pomiędzy głównymi spiskowcami, Panin miał śmiałość odezwać się do Katarzyny w te słowa:

— Wiadomo mi dobrze, N. Pani, czego sobie życzysz; wiem, do czego jesteś zdolną, ale zarazem wiadomo mi także, gdzie powinna zatrzymać się twoja chęć owładnięcia władzą. Wszak więcej jak sto razy powtarzałaś przedemną, będąc jeszcze w. księżną, że największym zaszczytem dla ciebie godność matki monarchy — dla czegoż więc teraz tego ci za mało? Zamyślasz usunąć twego syna od tronu rossyjskiego, lecz zkądże zdobyłaś prawo sama na nim zasiadać? Czyż pochodzisz ze krwi carów rossyjskich? Czyś się przynajmniej urodziła w ich carstwie? Zkądże ci przyszło do głowy, że starożytny, śmiały, wojowniczy naród rossyjski, chętnie uzna za swą monarchinię samowładną — hrabinę Anhalt? Czy przypuszczasz, że naród ten będzie obojętnym na losy potomków Piotra W. z których jeden będzie się dręczył u podnóżka tronu, a drugi jęczał w ciemnem więzieniu? Ach! N. Pani, miarkuj się w swych żądaniach, które nie dadzą się osiągnąć! Zastanów się, że największem szczęściem dla ciebie jest obecnie uniknięcie grożącego ci nieszczęścia, i że jedynym środkiem usprawiedliwiającym nasze przedsięwzięcie będzie szczere zajmowanie się losem twego syna! O sobie nie powinnaś zatem myśleć.

Uderzeni mocą wymowy, wszyscy umilkli ze łzami w oczach. Orlów wzdrygnął się; sama Katarzyna chwil kilka była milczącą, następnie tak odpowiedziała:

— Hrabio! chociażby uwagi twoje były najsłuszniejsze, nie mogą mnie one przekonać. Znam tyle naród moskiewski, ile wy go znacie, i mogę stanowczo zapewnić, że uważa on więcej na rząd, aniżeli na pochodzenie swoich panujących. Jeźli prawica rządzącego ciężko zawiśnie (tiagotit) nad nim, niewolniczo staje się jej posłusznym. Mieńszikow, Biron, Münich, niech służą wam za najlepszy dowód; lecz moje panowanie myślę oprzeć na zapełnie innych pierwiastkach, mianowicie: łagodności i sprawiedliwości, aby usunąć wszelkie powody do nieukontentowania narodowego. To będzie moim najświętszym obowiązkiem. Lecz ty, hrabio! ty, któryś mi powtarzał tylekrotnie o szemraniu i buntach, czyś zapomniał, że wszystkie te wypadki zachodziły podczas rejencji? Czyżbyśmy mogli przygotować coś podobnego jak teraźniejsze nasze porozumienie, gdyby Piotr III był tylko opiekunem mego syna? Ale może sobie życzysz, by następca tronu pozostał na łasce kapryśnego ojca, — który go już dzisiaj nie chce uznawać za syna, — zamiast być powierzonym opiece troskliwej matki? Jeżeli zaś dążę do ujęcia steru najwyższej władzy w państwie, czyż nie dla tego, aby tem snadniej wynagrodzić tych wszystkich, którzy zarówno z tobą troszczą się o jego los? Wszyscy oni powinni być upewnieni o mojej wiecznej dla nich wdzięczności, lecz abym przyrzeczenia mogła dotrzymać, potrzebuję na to władzy, której złożenia w ręce moje od was oczekuję!

Słowa te nie wzruszyły mocnego postanowienia Panina, i zdania podzieliły się między spiskowcami, którzy w skutek tego nic stanowczego nie mogli powziąć. Nie trudno było zrozumieć, że Panin dla tego chciał wprowadzić na tron swego wychowanka, aby zająć drugie miejsce po nim w państwie i rządzić niem pod jego imieniem.

Katarzyna od dawna już rozwiązała tę zagadkę, i potajemnie zawiadomiła go, że zostanie jej pierwszym ministrem; lecz bała się to powtórzyć przed innymi spólnikami, aby nie zrazić ich do siebie. Ks. Daszkowa, Orłow i Odart na przemian wysilali całą swoją wymowę, by nakłonić Panina do odmiennego zapatrywania, lecz wszystkie te zabiegi okazały się płonnemi i nie wywołałyby były nigdy pożądanego skutku, gdyby im w pomoc nie była przybyła namiętność, wprawdzie nie straszna, ale mimo to nie mniej skuteczna, która złamała jego upartą dumę. Miłość dostarczyła Katarzynie najodważniejszego wspólnika; miłość pomogła także innej kobiecie zwyciężyć tego, którego sama carowa nie mogła przeciągnąć na swoją stronę.

Konieczność porozumiewania się w rzeczach spisku, zmuszała Panina do częstszego odwidzania ks. Daszkowej. Rozum, zapał, wesołość tej młodej kobiety wkrótce oczarowały go zupełnie. Nastąpiło wynurzenie uczuć przed nią, lecz księżna przyjęła te oświadczyny dosyć ozięble, nie dając mu żadnej nadziei wzajemności. Zapewne nie cnota powodowała Daszkową w tym wypadku, jak o tem przekonać mogło wielu innych jej przyjaciół; lecz wiek Panina, jego surowa powierzchowność, zła reputacja jako amanta, a wreszcie przywiązanie księżnej do kogo innego. — Oto przyczyny prawdziwe, które odpychały ją od hrabiego, za co ten mścił się na każdym kroku, robiąc jej zawsze na przekór.

Tylko przebiegły i czujny Odart domyśliwszy się źródła oporu Panina, postanowił natychmiast rozpocząć walkę. Pospieszył do ks. Daszkowej, gdzie przekonawszy się, że domysły jego były prawdziwe, zaczął przemawiać do niej z całą swobodą gorliwego spólnika, nie bojącego się pójść za sprawę na Sybir, lub na śmierć, i wolnego od wszelkich uprzedzeń, czyli mówiąc jaśniej, nie zdolnego uszanować jakiejkolwiek cnoty. Odart miał bezczelność szydzić z tego, co Daszkowę utrzymywało na pewnej wysokości moralnej. Następnie ustroiwszy się w powagę tłumaczył jej, że jeżeli uważała za występek kochać Panina, za to ten czyn poniżający zostanie uszlachetnionym ofiarą dla przyjaźni, która ją wiąże z carową. W końcu dodał, że przyjaźń jest najpierwszem uczuciem, i dla tego nie ma takiej ofiary, którejby dla niej można odmówić. Takim sposobem z ohydnego czynu Odart potrafił zrobić bohaterskie poświęcenie.

Mocno tem podrażniona księżna, zawierzyła wszystkiemu, co jej mówił kusiciel, i postąpiła wedle rad jego.

Katarzyna nie potrzebowała odtąd nikogo więcej się obawiać, gdyż Panin stał się jej spólnikiem.

IV.

Połączeni sprzysiężeni nie myśleli o niczem innem, jak tylko o najspieszniejszem wykonaniu

swego planu; mieli dosyć zwierzchników, brakowało tylko żołnierzy. Konieczność nakazywała zatem przekupić wielu z gwardji, aby zmniejszyć stronników cara, i równocześnie powiększyć własne szeregi. Orłowy, Bibikow i Passek namówili już trzy kompanje Izmaiłowskiego pułku, lecz tego było za mało; wypadało użyć jedynego środka do skłonienia innych na swoją stronę — pieniędzy, których jednak nie miała carowa, gdyż jej dochody zaledwo wystarczały na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb domowych. Po naradzie z ks. Daszkową, Katarzyna zdecydowała się posłać Odarta do p. Bretel, aby ten dał jej pożyczkę na czas krótki.

Zaufaniec carowej a przytem prostak, minister ten gotował się niezadługo opuścić Petersburg, a chociaż wiedział o istnieniu spisku, nie były mu jednak wiadome ani siły jego, ani środki, ani sposoby, za pomocą których miano dopiąć zamierzonego celu. Dla tego powątpiewał o powodzeniu, i gdy mu Odart oświadczył, że Katarzyna kontentowałaby się, gdyby jego król pożyczył jej 60 tysięcy rubli, wahał się dać tę nieznaczną kwotę. Bojąc się atoli odmowną odpowiedzią obrazić carowę, a z innej strony chcąc upokorzyć Odarta, którego uważał zawsze za zuchwałego awanturnika, prosił go aby odpowiedział, że król jego będzie uważał za największą dla siebie przyjemność, jeżeli będzie mógł wyświadczyć tę usługę, i on, Bretel, gotów ją natychmiast uskutecznić, jak skoro otrzyma wpierw od carowej własnoręczny skrypt treści następującej: „Rozkazałam doręczycielowi niniejszego, złożyć Wam moje życzenie szczęśliwej podróży wraz z prośbą wyręczenia mnie w małej rzeczy i to jak najspieszniej.“ Oto próbka stylu p. Bretela. Piemontczyk sądząc, że carowa bez najmniejszej trudności przepisze ten bilecik, przyrzekł Bretelowi zaraz go przywieźć. (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

(Projekt powrotu południowem wybrzeżem. — Kształty wybrzeża. — Poszukiwania za domniemanymi rozbitkami. — Szczątki w powietrzu. — Odkrycie małej naturalnej przystani. — O północy u brzegów Dziękczynnej. — Czółno nadpływające.)

Cyrus Smith z towarzyszami swoimi spali snem niewinnych świstaków w jaskini, której im jaguar tak grzecznie był ustąpił.

Ze wschodem słońca wszyscy znajdowali się już nad brzegiem morza, u samej kończyny przylądka, a wzrok ich wybiegł raz jeszcze na kraniec widnokręgu, którego dwie trzecie części obwodu były widoczne. Raz ostatni jeszcze mógł się przekonać inżynier, że żaden żagiel ani kadłub okrętu nie pojawił się na morzu, a i przez dalekowidz nie mógł dopatrzeć żadnego podejrzanego przedmiotu.

Toż samo i na wybrzeżu nie widać było nic zgoła, przynajmniej na tej części jego, która w prostej ciągnąc się linji, tworzyła południowy brzeg przylądku na długość trzech mil, po za nią bowiem liczne urwiska i załomy zasłaniały resztę wybrzeża, tak, że nawet z samej kończyny półwyspu Gadzinowego nie można było dostrzedz przylądku Ostrego Szponu, zakrytego stromemi skałami.

Pozostawało im zatem zbadać jeszcze południowe wybrzeża wyspy. Lecz tu zachodziło pytanie: czyli należało natychmiast przedsięwziąć to badanie i poświęcić mu cały ten dzień 2go listopada?

To nie wchodziło bynajmniej w zakres pierwotnego ich planu. Zostawiając czółno u źródeł Dziękczynnej, postanowili zwidziwszy zachodnie wybrzeża, powrócić po nie i korytem Dziękczynnej popłynąć z powrotem do Pałacu Granitowego. Cyrus Smith sądził wówczas, że u wybrzeży zachodnich znajdzie się przystań zdolna posłużyć, czy to za schronienie dla okrętu uszkodzonego burzą, czyli też za miejsce spoczynku dla statku odbywającego regularny swój kurs żeglugi. Od chwili jednak, kiedy przekonali się, że na wybrzeżach tych nie było nigdzie miejsca odpowiedniego do wylądowania, trzeba było u południowych wybrzeży wyspy szukać tego, czego nie znaleźli u zachodnich.

Gedeon Spilett był tym, który zaproponował dalsze poszukiwania, tak, ażeby kwestja domniemanego rozbicia raz stanowczo została rozstrzygniętą i zapytał, w jakiej odległości mógł się znajdować przylądek Ostrego Szponu od kończyny półwyspu.

— W odległości blisko trzydziestu mil — odparł inżynier—biorąc w rachubę wszystkie zakręty i załomy wybrzeża.

— Trzydzieści mil! — ciągnął dalej Gedeon Spilett. — To dobry dzień drogi. Mimo to sądzę, że idąc wzdłuż wybrzeży południowych, powinniśmy zajść wreszcie do Pałacu Granitowego.

— Ależ od przylądka Ostrego Szponu do Pałacu Granitowego trzeba liczyć jeszcze najmniej dziesięć mil drogi — zauważył Harbert.

— Przypuśćmyż zatem, że wszystkiego razem będzie mil czterdzieści — odparł korespondent—i nie cofajmy się przed niemi. Zwidzimy przynajmniej te nieznane nam wybrzeża i nie będziemy potrzebowali powtarzać tego po raz drugi.

— Bardzo słusznie — rzekł na to Pencroff. — Lecz co będzie z czółnem?

— Czółno, jeśli mogło zostać samo jeden dzień u źródła Dziękczynnej, potrafi zostać i dwa dni! Jak dotąd, nie możemy się skarżyć, ażeby wyspa niepokojoną była przez złodziejów!

— A jednak kiedy przypomnę sobie owo zdarzenie z żółwiem — rzekł marynarz — to zaczynam tracić bezwzględną ufność.

— Ba, żółw! żółw! — odparł korespondent. — Alboż nie wiesz, że to morze postawiło go na nogi?

— Kto wie? — bąknął inżynier.

— Ale bo.... — odezwał się Nab.

Nab miał widocznie coś do powiedzenia, bo otworzył usta do gadania, ale nie gadał nic.

— Co chciałeś powiedzieć, Nabie? — zapytał go inżynier.

— Jeśli będziemy wracać wybrzeżem aż do przylądku Ostrego Szponu — odparł Nab — to minąwszy ten przylądek, przetnie nam drogę...

— Dziękczynna! W samej rzeczy — odparł Harbert — i nie będziemy mieli ani mostu ani łodzi, ażeby ją przebyć na drugą stronę.

— Więc dobrze, panie Cyrus — odparł Pencroff. — Mając kilka pniaków drzewa, potrafimy jakoś przepłynąć tę rzekę!

— Bądź co bądź jednak — rzekł Gedeon Spilett — dobrze będzie wybudować most, jeśli chcemy mieć ułatwiony przystęp do lasu Zachodniej Ręki!

— Most! — zawołał Pencroff — i cóż z tego, alboż p. Smith nie jest inżynierem, co się zowie? Chcemy mostu, to on nam zbuduje most! Co się zaś tyczy tego, ażeby przewieść was na drugi brzeg Dziękczynnej i to bez zamoczenia jednej nitki — to już moja rzecz. Mamy jeszcze żywności na jeden dzień, więcej nam niczego nie trzeba, a zresztą, dziś może nie zabraknie nam zwierzyny, jak to było wczoraj. W drogę zatem!

Wniosek korespondenta, tak żywo poparty przez marynarza, uzyskał ogólną aprobatę, każdemu bowiem zależało na tem, ażeby raz rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości, a skierowawszy drogę na przylądek Ostrego Szponu, zakończony tem samem wszystkie poszukiwania. Nie było jednak godziny jednej do stracenia, bo mil czterdzieści to tęgi kawał drogi i ani myśleć było prędzej stanąć w Pałacu Granitowym, aż w nocy.

O godzinie szóstej z rana drużyna nasza ruszyła w drogę. Na wypadek jakiego spotkania z dwu lub czworonożnemi zwierzętami ponabijano strzelby kulami, a Top, który miał biedz na czele pochodu, otrzymał rozkaz przeszukiwania zarośli z kraju lasu.

Począwszy od kończyny przylądku tworzącego jakoby ogon półwyspu, zaokrąglało się wybrzeże na długość pięciu mil, którą to przestrzeń przebyto bardzo szybko; pomimo najskrupulatniejszego poszukiwania jednak nie odkryto nigdzie najmniejszych śladów ani dawniejszego ani świeższego wylądowania, ani żadnych szczątków, ani pozostałych resztek koczowiska, ani popiołów z zagasłego ogniska, ani śladu ludzkiej stopy!

Osadnicy nasi przybywszy do punktu, w którym kończyło się zaokrąglenie, a dalej w kierunku północno-wschodnim rozpoczynała się Zatoka Waszyngtona, mogli ogarnąć wzrokiem południowe wybrzeże wyspy w całej jego rozciągłości. W oddaleniu dwudziestupięciu mil kończyło się wybrzeże przylądkiem Ostrego Szponu, który majaczył zaledwie w mgle porannej i skutkiem dziwnego złudzenia optycznego zdawał się jakoby zawieszonym pomiędzy niebem a ziemią. Pomiędzy punktem, w którym znajdowali się wówczas osadnicy nasi a środkiem olbrzymiej zatoki, składało się wybrzeże: naprzód z płaszczyzny piaszczystej bardzo gładkiej i bardzo jednostajnej, obwiedzionej na tylnym planie szlakiem drzew; następnie kontury wybrzeża stawały się coraz nieregularniejszemi i wybiegały w morze tysiącem śpiczastych języków, a po za tem piętrzyły się w malowniczym nieładzie czarniawe skały, które kończyły się przylądkiem Ostrego Szponu.

Taka była postać tej części wyspy, którą osadnicy nasi widzieli po raz pierwszy, i zatrzymawszy się chwilę, przebiegli jednym rzutem oka wzdłuż i wszerz.

— Okręt, któryby chciał wylądować w tem miejscu — odezwał się Pencroff — musiałby zginąć niechybnie. Tu ławice piaszczyste przedłużające się daleko w morze, a tam rafy! Niebezpieczna okolica!

— Lecz z okrętu tego zostałoby przynajmniej coś — zauważył korespondent.

— Na rafach zostałyby z niego trzaski, a na piaskach nic zgoła — odparł marynarz.

— A to czemu?

— Ponieważ piaski, stokroć niebezpieczniej-

sze jeszcze od skał, pochłaniają wszystko co w nie wpadnie, i kilka dni wystarczy, ażeby okręt o kilkuset tonach objętości zapadł się w nich bez śladu!

— A zatem Pencroffie — zapytał inżynier — gdyby okręt jaki zapędził się w te piaski, nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby po ten czas nie pozostał po nim ślad żaden?

— Ani trochę, panie Spilett, zwłaszcza przy niepogodzie i burzach. Jednak i w tym razie byłoby dziwnem, gdyby szczątki masztów i lin nie zostały wyrzucone na brzeg po za obręb morza.

— Szukajmy więc dalej — odparł Cyrus Smith.

O godzinie pierwszej z południa stanęli osadnicy nasi u środka zatoki Waszyngtona, przebywszy w tej chwili mil dwadzieścia.

Zatrzymali się ażeby spożyć śniadanie.

Odtąd zaczynały się nie regularne kontury wybrzeża; było ono dziwacznie poszarpane i pokryte długą linją owych raf następujących po ławicach piasczystych, których wierzchołki poczynało odpływające w tej chwili morze odsłaniać. Wiotkie fale morskie łamały się o czoła tych skał i rozpryskiwały się w długie wstęgi śnieżystej piany. Płaszczyzna piasczysta, począwszy od tego miejsca aż do samego przylądku Ostrego Szponu, tworzyła szlak wąski, ściśnięty pomiędzy szeregiem skał a krawędzią lasu.

Droga stawała się odtąd uciążliwszą, nieprzeliczone bowiem rumowiska skał zawalały wybrzeże. Ściana granitowa rosła coraz bardziej, tak że z drzew, które w tyle na jej szczytach się wznosiły, widać było zaledwie wierzchołki zieleniejące, nieporuszane najmniejszym powiewem wiatru.

Po półgodzinnym spoczynku osadnicy nasi puścili się w dalszą drogę, nie pomijając wzrokiem żadnego punktu, ani wśród skał ani na płaszczyźnie piasczystej. Pencroff z Nabem zapędzali się nawet pomiędzy skały, ilekroć przedmiot jaki zwrócił ich uwagę. Nie znajdowali jednak nic zgoła i tylko dziwaczne kształty skał łudziły ich wzrok daremnie. Za każdym razem mieli sposobność przekonać się, że okolica ta obfitowała w muszle i mięczaki przydatne do jedzenia, nie mogła być jednak pierwej wyeksploatowaną korzystnie, dopókiby nie została utworzoną komunikacja między obydwoma brzegami Dziękczynnej i środki przewozu nie zostały udoskonalone.

Tak więc żaden ślad domniemanego rozbicia nie pojawiał się na wybrzeżu, a jednak każdy przedmiot jakiegokolwiek znaczenia, naprzykład kadłub okrętu, byłby był niezawodnie dostrzeżony, lub szczątki jego byłyby zostały na brzeg wyrzucone, podobnie jak owa skrzynia znaleziona w oddaleniu najmniej dwadzieścia mil ztamtąd. Tymczasem nie było nic zgoła.

Około godziny trzeciej Cyrus Smith z towarzyszami swoimi przybyli do wąskiej szyi szczelnie zamkniętej, w którą żaden potok nie wpadał. Tworzyła ona rodzaj małej przystani naturalnej, zakrytej od strony morza, a łączył się z nią ciasny przesmyk pozostawiony między skałami.

Na dnie tej szyi, jakieś wstrząśnienie gwałtowne przedarło krawędź skalistą, i czeluść wydrążona wśród skał, łagodnie wspinając się pod górę, dozwalała przystępu do górnej terasy, oddalonej od przylądka Ostrego Szponu najmniej mil dziesięć, a tem samem od Wielkiej Terasy na wprost blisko mil cztery.

Gedeon Spilett zaproponował towarzyszom swoim zatrzymać się w tem miejscu. Wniosek ten przyjęto, podróż bowiem zaostrzyła apetyt wszystkich i chociaż to jeszcze nie była godzina objadowa, każdy jednak rad był posilić się kawałkiem dziczyzny. O tej przekąsce mieli czekać cierpliwie aż do wieczerzy w Pałacu Granitowym.

W kilka minut później osadnicy nasi, usiadłszy pod przepysznem sklepieniem sosen morskich, spożywali wiktuały, które Nab wydobył ze swego tłómoczka.

Miejsce to wznosiło się na pięćdziesiąt do sześćdziesiąt stóp po nad poziomem morza. Widok zatem był dość rozległy, a przeskoczywszy ostatnie skały przylądka, gubił się w zatoce Stanów Zjednoczonych. Lecz ani wysepki, ani Wielkiej Terasy nie było i nie mogło być widać, wypukłość bowiem ziemi i szpaler olbrzymich drzew zasłaniały zupełnie widnokrąg północny.

Zbytecznem by było dodawać, że pomimo iż osadnicy nasi ogarniali wzrokiem tak szeroką przestrzeń morza, a inżynier dalekowidzem swoim przechodził punkt za punktem cały ten łuk widnokręgu, w którym niebo zlewało się z morzem, nie dostrzeżono jednak żadnego statku.

Podobnie i całą tę część wybrzeża niezwidzonego dotąd jeszcze, zmierzono w szerz i wzdłuż dalekowidzem, począwszy od płaszczyzny piasczystej aż do raf, lecz żaden szczątek nie pojawił się na widnokręgu perspektywy.

—A no, rzekł Gedeon Spilett, trzeba się pogodzić z rzeczywistością i pocieszyć się tem, że przynajmniej nikt nie przyjdzie niepokoić nas w posiadaniu wyspy Lincolna!

— Ależ to ziarno śrótu! zawołał Harbert. Wszak sądzę, że ono nie było wcale urojonem!

— Do kroćset, pewnie że nie! zawołał Pencroff pomny straconego zęba.

— Jakiż ztąd wniosek? zapytał korespondent.

— Taki, odparł inżynier: że temu trzy miesiące lub więcej, okręt jakiś dobrowolnie nie wylądował tu...

— Jakto! przypuszczasz, Cyrusie, że się zapadł bez znaku? zawołał korespondent.

— Nie mój drogi Spilett; chciej jednak zauważyć, że jeśli pewnem jest, że ludzka istota dotknęła stopą tej wyspy, to niemniej zdaje się być pewnem, że ją do tego czasu opuściła.

— Więc, jeśli pana dobrze rozumiem, panie Cyrus, rzekł Harbert, okręt, który tu przybił, już odpłynął?...

— Oczywiście.

— A my straciliśmy bezpowrotnie sposobność zobaczenia kiedykolwiek naszej ojczyzny? zapytał Nab.

— Obawiam się, że bezpowrotnie.

— A zatem kiedy nas sposobność minęła, ruszajmy dalej! rzekł Pencroff, który począł już uczuwać tęsknotę za Pałacem Granitowym.

Lecz zaledwie powstali, odezwało się nagle głośne szczekanie Topa, i pies wybiegł po chwili z lasu, trzymając w pysku kawałek jakiejś materji zawalanej błotem.

— Nab wydarł psu szmatę tę z pyska. Był to kawałek tęgiego płótna.

Top szczekał nieustannie i biegając wciąż tam i napowrót, zdawał się zachęcać swego pana, ażeby szedł za nim do lasu.

— Jest tam coś, coby nam może wyjaśniło istnienie owego ziarnka śrótu! zawołał Pencroff.

— Rozbitek jaki! odparł Harbert.

— Może ranny! rzekł Nab.

— Lub nieżywy! odparł korespondent.

I wszyscy społem pobiegli za psem między olbrzymie sosny tworzące pierwszy szpaler lasu. Na wszelki wypadek Cyrus Schmith z towarzyszami swoimi mieli broń w pogotowiu.

Musieli dość daleko zapuszczać się w las, lecz ku wielkiemu rozczarowaniu swojemu, nie spostrzegli dotąd ani śladu ludzkiej stopy. Krzaki i ljany były nietknięte, trzeba się nawet było przerębywać przez nie siekierą, tak jak to czynili wśród gęstwiny w samej głębi boru. Trudno więc było przypuścić, ażeby człowiek był już tamtędy przechodził, a jednak Top biegał tam i sam, nie jak pies, który tropi na los szczęścia, lecz jak istota obdarzona wolą i postępująca podług pewnej wytkniętej myśli.

Po siedmiu lub ośmiu minutach biegu, Top zatrzymał się. Osadnicy nasi wyszli na polankę opasaną wysokiemi drzewami, rozglądnęli się dokoła, nie spostrzegli jednak nic zgoła ani między krzakami ani między drzewami.

— Cóż to się znaczy, Top? zapytał Cyrus Smith.

Top począł szczekać jeszcze głośniej i skakać dokoła olbrzymiej sosny.

Nagle Pencroff zawołał:

— A to wybornie! a to wyśmienicie!

— Co takiego? zapytał Gedeon Spilet.

— Szukamy szczątków okrętu po morzu i po ziemi!

— I cóż?

— To, że się one znajdują w powietrzu!

I marynarz pokazał ręką dużą białą szmatę zawieszoną na szczycie sosny; kawałek z niej upadł na ziemię; Top przyniósł go właśnie.

— Ależ to nie są szczątki okrętu! zawołał Gedeon Spillet.

— O, za pozwoleniem! odparł Pencroff.

— Jato? więc to są?...

— To są resztki pozostałe z naszego statku napowietrznego, z naszego balonu, który zawisł tam wysoko, na wierzchołku tego drzewa!

Pencroff nie mylił się, wzniósł wspaniałe „hurra!“ i dodał:

— Otóż mamy wyborne płótno! Będziemy z niego mieli bieliznę na całe lato! Jest z czego szyć chustki i koszule! He? panie Spilett, co pan powiadasz o takiej wyspie, gdzie koszule rosną na drzewach?...

Była to w istocie okoliczność nader pomyślna dla osadników wyspy Lincolna, że balon wzbiwszy się raz ostatni w powietrze, spadł na powrót na wyspę i że szczęśliwy traf pozwolił im go odnaleść. Mogli więc albo zachować powłokę balonu pod tą samą postacią, gdyby zamierzali spróbować nową wycieczkę napowietrzną, albo też spożytkować korzystnie tych kilkaset łokci płótna przedniego gatunku, oczyściwszy je poprzednio z werniksu. Łatwo wystawić sobie jak jednomyślnie i żywo dzielili wszyscy radość Pencroffa.

Trzeba było jednak zdjąć pierwej powłokę balonu z drzewa, na którem wisiała, ażeby w bezpiecznem przechować ją miejscu, a była to praca nielada. Nab, Harbert i marynarz wdrapawszy się na wierzchołek drzewa musieli dokazywać cudów zręczności, ażeby sprowadzić na dół olbrzymi balon obwisły.

Praca ta trwała blisko dwie godziny i nietylko powłokę balonu z klapą, sprężynami, przyborami miedzianemi ale i sieć całą, to jest znaczny zapas powrozów i lin, obręcz i kotwicę ba-

lonu udało się sprowadzić szczęśliwie na ziemię. Powłoka oprócz pęknięcia, znajdowała się zresztą w dobrym stanie i tylko dolna jej część była podartą.

Bogactwo to spadło na nich jakby z nieba.

— Bądź co bądź jednak, panie Cyrus, odezwał się marynarz, jeśli zdecydujemy się kiedy opuścić wyspę, to nie balonem, prawda? Te statki napowietrzne nie lecą nigdy tędy, którędy by człowiek chciał; mieliśmy sposobność przekonać się trochę o tem! Widzisz pan, jeśli mnie pan posłuchasz, zbudujemy porządny statek o dwudziestu tonach pojemności, a pan pozwolisz mi skroić z tego płótna maszt przedni i żagiel trójkątny. Reszta pójdzie na bieliznę!

— Obaczymy Pencroffie, obaczymy, odparł Cyrus Smith.

— Tymczasem trzeba to wszystko ukryć bezpiecznie, rzekł Nab.

W samej rzeczy ani myśleć było przenieść samemu tę kupę płótna, powrozów i lin, których ciężar był dość znaczny, do Pałacu Granitowego, a zanim by sprowadzono powózkę nie należało zostawiać dłużej tych bogactw na łaskę pierwszego lepszego orkanu. Osadnicy nasi połączonemi siłami zaciągnęli tedy cały ten pakunek na brzeg morza, gdzie odkryli dość obszerną jaskinię, która dzięki swemu położeniu, zabezpieczoną była od wichru, deszczu i od morza.

— Trzeba nam było szafy, mamy szafę, rzekł Pencroff; lecz ponieważ nie zamyka się na klucz, trzeba więc zatkać jej otwór. Nie mam na myśli złodziejów dwunożnych lecz czworonożnych!

O godzinie szóstej z wieczora było już wszystko na składzie, a dawszy owej małej szyi usprawiedliwioną ze wszech miar nazwę: „Przystani Balonowej“, ruszono dalej w drogę ku przylądkowi Ostrego Szponu. Pencroff z inżynierem gwarzyli o rozmaitych planach, które w jak najkrótszym czasie należało uskutecznić. Przedewszystkiem trzeba było wybudować most na Dziękczynnej, ażeby ułatwić komunikację z południową częścią wyspy; poczem miano wrócić po balon z powózką, gdyż czółno nie było w stanie go przewieźć; potem miano wybudować szalupę pomostową, Pencroff miał ją zaopatrzyć w przyrządy, a uczyniwszy to wszystko można było przedsięwziąć żeglugę dokoła wyspy, i t. d. i t. d.

Tymczasem noc zapadła i było już ciemno, gdy osadnicy nasi przybyli do przylądka Rozbitków, do miejsca, w którem znaleźli ową drogocenną skrzynię. Lecz i tu podobnie jak gdzieindziej, nie było nic takiego, coby świadczyło o rozbiciu jakiego statku i trzeba było powrócić do wniosku sformułowanego poprzednio przez Cyrusa Smitha.

Od przylądku Rozbitków do Pałacu Granitowego pozostawało jeszcze mil cztery, które można było rychło przebyć, lecz minęła już północ, gdy osadnicy nasi, idąc ciągle brzegiem morza aż do ujścia Dziękczynnej, dotarli do pierwszego kolana rzeki.

W tem miejscu koryto było ośmdziesiąt stóp szerokie, trudno je było zatem przebyć, ale Pencroff podjął się był przezwyciężyć tę przeszkodę, wezwano go więc, ażeby wywiązał się z danego słowa.

Trzeba przyznać, że podróżni nasi byli bardzo znużeni. Podróż była daleka a zdarzenie z balonem nie przyczyniło się wcale do ulżenia ich nogom i rękom. Spieszno im było zatem do Pałacu Granitowego, gdzie ich czekała wieczerza i spoczynek, i gdyby most był już istniał, w kwadrans byliby byli w domu.

Noc była bardzo ciemna. Pencroff tedy rozpoczął przygotowania, by dotrzymać swej obietnicy. Zamierzał sporządzić rodzaj tratwy, na której by można było przepłynąć na drugi bok Dziękczynnej. Razem więc z Nabem uzbrojeni w siekiery, upatrzyli dwa drzewa rosnące w pobliżu rzeki, z których spodziewali się złatać jaką taką tratwę i przypuścili do nich szturm od dołu.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett, usiadłszy na brzegu, czekali aż przyjdzie chwila, w którejby trzeba przyjść w pomoc towarzyszom, podczas gdy Harbert przechadzał się tam i sam, nie wiele się troszcząc o to wszystko.

Nagle Harbert, który zapędził się nieco dalej brzegiem rzeki, powrócił pędem i wskazując na prąd rzeki, zawołał:

— Co tam płynie?

Pencroff przerwał swą pracę i dostrzegł jakiś przedmiot, ruchomy majaczący w zmroku nocnym.

— To czółno jakieś! rzekł po chwili.

Zbliżyli się wszyscy do brzegu i ku najwyższemu zdziwieniu swemu ujrzeli w samej rzeczy łódź jakąś pędzącą z prądem rzeki.

— Hola! co to za łódź! zawołał marynarz z nawyczki nabytej w swym zawodzie, nie zważając na to, że lepiej by było może zachować milczenie.

Nikt nie odpowiadał. Łódź płynęła dalej i gdy się zbliżyła na dziesięć kroków, marynarz zawołał:

— Wszak to nasze czółno! Urwało się z cumy i popłynęło z wodą! Trzeba przyznać, że w sam czas przychodzi!

— Nasze czółno?... przebąknął inżynier.

Pencroff miał słuszność. Było to w samej rzeczy czółno, które urwawszy się zapewne z cumy, wracało samo od źródeł Dziękczynnej. Było więc teraz rzeczą niemałej wagi schwytać je w biegu, zanimby wartki prąd wody uniósł je po za ujście rzeki. Dokonali tego bardzo zręcznie Nab z Pencroffem, za pomocą długiej żerdzi.

Czółno przybiło do brzegu. Inżynier wskoczył w nie pierwszy, wziął cumę do ręki i namacał w samej rzeczy, że się przetarła była o skały.

— Oto się zowie, rzekł do niego korespondent, to się zowie trafem...

— Dziwnym! odparł Cyrus Smith.

Dziwny czy nie, w każdym razie był to traf szczęśliwy! Harbert, korespondent, Nab i Pencroff kolejno zajęli miejsca w czółnie. Oni nie wątpili o tem wcale, że się cuma przetarła; najdziwniejszem jednak z tego wszystkiego było to, że czółno nadpłynęło właśnie w chwili, gdy osadnicy nasi mogli je schwytać w biegu, gdyż w kwadrans później byłoby zginęło w morzu.

Gdyby to były czasy, w których duchy opiekuńcze żyły na ziemi, możnaby było po tem zdarzeniu mniemać, że wyspę zamieszkiwała jakaś istota nadprzyrodzona, która potęgę swoję obracała na usługi rozbitków!

Po kilku uderzeniach wiosłem dopłynęli osadnicy nasi do ujścia Dziękczynnej. Wyciągnęli czółno na brzeg nie daleko „dymników“ i podążyli wszyscy ku drabince zwisającej z Pałacu Granitowego.

Lecz w tej chwili Top zaszczekał gniewnie, a Nab, który szukał pierwszego stopnia drabinki, wydał krzyk...

Drabinka gdzieś znikła. (C. d. n.)

SIEROTA.

Tam na łące, w pośród grona dzieci,
Bladą twarzą w żałobnej sukience
Jak lilijka w pośród kwiatów świeci...
I na piersi drobne składa ręce;
Duszą zda się gdzieś w ciszę ucieka,
A jej oczy mokra mgła powleka.

Czy w zadumie gdzie stanie na boku,
Czy rówieśne podziela swawole,
Z twarzy pełnej dziwnego uroku
Możesz czytać jej przyszłość —niedolę!
Taka głębia tych oczu zdradziecka
Taki smutny uśmiech tego dziecka!

W jej igraszkach nie dojrzysz swobody,
Nie usłyszysz tych śmiechów serdecznych,
Co na jasne weselem jagody
Tyle blasków rozlewa słonecznych —
Ni tych gwarnych szczebiotów ptaszęcych,
Co tak mile brzmią w ustach dziecięcych!

Patrzaj! Oto dziewczynka rówienna
Na pierś matki zmęczona przypadła —
I w objęciach jej tuli się senna.
Ona stoi, tak drżąca i zbladła,
Że raz pierwszy postrzegasz z zdumieniem
Twarz tak młodą, tak starą cierpieniem!

Słuchaj! Z dali dźwięk płynie tu srebrny:
Anioł Pański ponad ziemią wzlata,
Dziatwa z chórem orkiestry podniebnej
Cichym szeptem modły swoje splata —
Ona w niebo spogląda milcząca,
Tylko w oku łza świeci gorąca!

Biedne dziecko! tak jej w każdej dobie
Świecić będzie jej sieroctwa gwiazda,
Przejdzie w tłumie w samotnej żałobie,
I jak pisklę wytrącone z gniazda,
Jeżeli tkliwa nie wesprze ją ręka,
Skona z żalu którym serce pęka!

Lub co gorzej, będzie w długie lata
Wlokła życia ciężkiego kajdany,
Żebrząc darmo miłości u świata
I wciąż krwawiąc niezgojone rany —
I wciąż łamiąc się z przeznaczeń burzą,
I wciąż nużąc bezcelną podróżą!

O! jeżeli przez mroki i ciernie
Przebrnąć zdoła spokojna, niezgięta,
Jeśli złoży na ołtarzu wiernie
Bożej myśli pochodnię —to święta!
Duch jej wzleci nad życia otchłanie,
Niby jasne prawdy zmartwychwstanie!

Lecz jeżeli łez cierpkich za wiele
Do tej duszy zleje się kielicha,
Gdy jak organ w zburzonym kościele
Pieśń miłości zamilknie w niej cicha,
I pierś stanie jak grobowiec pusta
I śmiech gorzki wykrzywi te usta;

O! natenczas tenże sam duch blady,
Gdy swe ziemskie opuści mieszkanie,
I pamiątek niosąc krwawych ślady
Przed sąd boski załzawiony stanie,
Ciemny będzie, jak mrok tych padołów—
Groźny dumą upadłych Aniołów!

Maj 1875.

Marja B.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Niektórzy powieściopisarze, szczęśliwsi odemnie, znajdują się w tem zazdrości godnem położeniu, iż mogą czytelnikom swoim dać niejako stenograficzne sprawozdanie z myśli i uczuć osób, których dzieje opisują. Dramatyczni autorowie ze swojej strony trafiają zawsze na bohaterów i bohaterki, których zwyczajem jest wygłaszać w pięknych i długich monologach to wszystko, co nie objawia się w djalogu lub w czynie. Dzięki temu fortunnemu przypadkowi, autorowie ci mogą na autentycznych zupełnie podstawach wskazać najtajniejsze psychologiczne sprężyny i pobudki działań, podczas gdy ja niestety, ilekroć nie przychodzi mi w pomoc djalog, lub dziennik zawierający zwierzenia się poufne, zmuszony jestem posługiwać się domysłami opartemi na szczegółach, jakie zwykłym rzeczy ludzkich trybem dojść mogły do mojej wiadomości. I w tej chwili więc, gdy pani Helena przechadzała się szybko po długich i cienistych alejach ogrodu rymiszowskiego, z niespokojnego jej chodu, z częstego zatrzymywania się i innych zewnętrznych wskazówek domyślam się, że była bardzo poruszoną, i że walczyły z sobą w jej umyśle najsprzeczniejsze uczucia i popędy. Co ją poruszało, jakiego rodzaju były sprzeczne myśli, które ją szarpały, to już po części wiemy, po części zaś możemy wnioskować z treści jej dziennika. Scena w lesie z Alfredem, w której dała mu tak wyraźnie uczuć swoją wyższość i pogardę, bynajmniej nie zmieniła i zmienić już nie mogła prawdziwej lub urojonej namiętności, na którą składały się i dawniejsza skłonność, i przewrotne rozumowania, których byliśmy niedeskrytnymi świadkami. Scen takich odbyło się już niemało między panią Zamecką a p. Zgorzelskim, i jedynym ich skutkiem była zawsze tylko coraz większa analogja, jaką znajdowała między sobą a „Lucrezią Floriani" i całym szeregiem innych bohaterek tego rodzaju. Podczas gdy tamte wszakże zmyślone kobiety albo były upiększonemi okazami bardzo powszedniego rodzaju kobiety lekkomyślnej, albo też, jeżeli w istocie kiedy zdawało im się, że czują w sercu to co im autor włożył w usta, to żyły w otoczeniu pobłażliwem lub zdecydowały się zerwać ze światem i nie zważać na jego surowe sądy — pani Helena natomiast, z jednej strony zbyt długo wmawiała w siebie ekscentryczną miłość ku Alfredowi, by się jej wyrzec mogła, z drugiej strony zaś zbyt wiele przywiązywała wagi do opinji świata, by poszła za popędem skłonności choćby najsilniejszej. Tak więcej Alfred nie tylko nie przestawał być dla niej „przedmiotem miłości, wielkiej w swoich pobudkach," ale owszem, im niżej stawiał się w jej oczach, tem bardziej zdawał jej się stworzonym dla niej. Błąd jej, popełniony przed ośmnastu laty, był ciężkim, a jeszcze cięższą była wina, iż z taką usilnością pragnęła zaprzeć go się i zatrzeć jego ślady, ale bądź co bądź, tyloletnie pasmo udawań i obaw, dobrze odegranych komedyj i ciągłego niepokoju o to, czy skutek ich jest pomyślnym, wszystko to razem wzięte, było moralnem cierpieniem. Otóż jak każda kobieta, pani Helena czuła tylko, że cierpi, i jak każda kobieta, nie była zdolną powiedzieć sobie, iż cierpi słusznie, z własnej woli i dla własnej winy. Przeciwnie, mniemała, iż za cierpienie należy jej się nagroda, ta przynajmniej, by długie i zręczne ukrywanie tajemnicy zapewniło jej stanowisko żadnym na pozór zarzutem niezmazane. Czy nie dosyć już, że sama w obec siebie nie miała takiego stanowiska? Tymczasem Zamecki odkryciem swojem zburzył gmach, tak mozolnie stawiany — ten sam Zamecki, w obec którego poczytywała sobie za zasługę, iż z obawy skompromitowania się zachowywała w stosunku z Alfredem ostrożność jak największą, i kładła temu stosunkowi granice, jeszcze bardziej potęgujące skłonność à la Lucrezia Floriani... Dodajmy do tego jej rozmowę z p. Skryptowiczem, dodajmy, iż nie znała właściwych zamiarów Tadeusza, a pojmiemy, iż nietylko musiała być poruszoną, ale że nadto, wrodzona energja przeć ją musiała do postanowień stanowczych, nieodwołalnych.

Nim nakryto do owej herbaty, przy której Wacław miał tak drażliwą rozmowę z p. Alfredem o Bogu, którego p. Zamecka miała w sercu, nastąpiło jeszcze krótkie *tête-à-tête* między nią a tym ostatnim. P. Zgorzelski przyjechał wcześnie, pani Helena kazała go prosić do ogrodu.

— Czy podpisałaś? były pierwsze jego słowa.

— Podpiszę, nim pojedziesz, chociaż nie mam najmniejszej nadziei, by ci się ten interes powiódł. Ale mniejsza o to. Idź, byleś nie zapomniał o trzech rzeczach.

— O których?

— Najpierw, bądź u mamy i przywieź mi koniecznie wiadomość, że jest chorą, i że potrzebuje mojej obecności. Powtóre, dowiedz się, czy Zamecki napisze testament, lub nie. Karol mówił mi, że go nakłoni do tego kroku. Wszak możesz przez faktora mieć dokładną wiadomość, czy Zamecki nie konferuje z jakimi prawnikami, np. z notarjuszami, a gdyby tak było, nietrudno ci będzie dojść, czy jest testament, i jakiej treści.

— Zapewne, A po trzecie?

— Po trzecie... przywieź mi to! Tu pani Helena podała mu karteczkę, którą włożyła była do kieszeni, wychodząc ze swego pokoju. P. Alfred spojrzał na papier.

— Co to jest? zapytał zdziwiony.

— Wszak umiesz czytać?

— Tak, ale nie rozumiem tego słowa. Cyankalium? Nie słyszałem nigdy o niczem podobnem.

Czytelnik przypomni sobie, że dopiero od bardzo niedawna rozpowszechniła się między publicznością znajomość tej ingredjencji chemicznej, zwanej po polsku sinkiem potasu. Wówczas nie znali jej jeszcze nawet wszyscy lekarze, a w Galicji do dziś mógłbym pokazać starych chirurgów, którzy o tem, równie jak i o wielu rzeczach należących do ich rzemiosła, wiedzą mniej od niejednego pilnego czytelnika gazet.

— Jak ty mało pamiętasz z tego, co czytasz. Wszak nie ma jeszcze tygodnia, jak czytaliśmy na werandzie sprawozdanie z tego głośnego procesu, który się odbył w Wiedniu, i jak dr. Chimerski tłumaczył nam przez całą godzinę, co to jest „Cyankalium," i jak się nazywa po polsku.

— Więc cyankalium! To jest... rzekł p. Alfred blednąc.

— Trucizna.

— Heleno! Zastanów się... co ty zamierzasz... na co ci tej trucizny? mówił p. Zgorzelski, któremu należy oddać tę sprawiedliwość, że drżał jak liść osiki, a był bladym, jak panna Wanda w zielonej sukience.

— Czegożeś się tak przestraszył, zapytał p. Zamecka — wszak ci nie grozi nic złego?

— Nic, ale... Helenko, zreflektuj się, co tobie w głowie?

— Nic cię to nie obchodzi. Przywieziesz mi, czego żądam, i koniec.

— Ależ...

— Rozumiem cię. Jesteś w obawie, że struję pół Rymiszowa, i że śledztwo wykaże później, iż ty dostarczyłeś mi trucizny. Nie obawiaj się niczego. Nie mam złych zamiarów, i chcę mieć to, czego żądam, jedynie dla mego bezpieczeństwa.

— Truciznę... dla bezpieczeństwa?!

— Tak, dla bezpieczeństwa. Wszak słyszałeś, że ludzie którzy puszczają się w podróż do bieguna północnego, albo przedsiębiorą inną jaką wyprawę niebezpieczną, w której im grozi haniebna niewola lub męka powolnego skonania, miewają zwykle przy sobie jakąś piorunującą truciznę. Ty sam, nie zapomniałeś przecie, kiedy cię wyzwał ów młody akademik, a ty mu nie stanąłeś, i kiedy groził w skutek tego, że cię obije na ulicy, nosiłeś rewolwer w kieszeni przez parę miesięcy. Było to bardzo niebezpiecznem, bo jak cię ostrzegałam, mógł ci odebrać rewolwer i zastrzelić cię na miejscu. Juźci byłbyś się nie odważył strzelić. Otóż i ja nie wiem, czy będę miała odwagę zrobić użytek z tej trucizny, ale chcę ją mieć koniecznie.

— Na Boga! Cóż tobie grozi?

— Nic, tylko Zamecki przywiezie tutaj tę dziewczynę, i każe mi się przyznać do niej, i objawić wszelką skruchę, a żyć daleko od świata, tu, w Rymiszowie, żyć dla przykładnego pełnienia obowiązków i zadośćuczynienia za winy... chachacha! Będę musiała matczyć na weselu, a owdowiawszy, żyć z dożywocia, i w skromnem zaciszu, wychowywać wnuki. Z tych wszystkich, którzy mię znają, jedni spoglądać mi będą w oczy z urąganiem, drudzy, z gorszą od urągania, litością przebaczenia. Otóż, nim przyjdzie do tego, wolę się zabić.

— Heleno, ja na to nie pozwolę, ja nie dopuszczę do tego! Czy nie lepiej...

— Nie ma żadnego „lepiej!" Jeżeli mi przywieziesz, czego żądam, to przed śmiercią zapiszę ci moich stotysięcy, z których zapłacisz dług Bergerowi i jeszcze ci zostanie więcej, niż kiedykolwiek posiadałeś w życiu. A może — może nie otruję się, i wszystko da się jakoś załagodzić, urządzić znośnie... Cóż, zgoda?

— Dobrze, ale trucizn nie sprzedają w aptekach bez recepty lekarskiej!

— To też ja nie chcę wcale, byś kupował cyankalium. Wszak masz tyle miłych przymiotów towarzyskich, i tylu kolegów w różnych warstwach społeczeństwa. Jeden z nich może jest aptekarzem, albo pomocnikiem aptekarskim, albo przynajmniej przyjacielem aptekarza?

— W istocie, przypominam sobie niejakiego Prągowskiego, który jest pomocnikiem, czy zastępcą aptekarza.

— Wybornie! Odnowisz z nim przyjaźń, dowiesz się, kiedy jest sam w aptece, pod pozorem, że chcesz z nim pomówić swobodnie, jako z dawnym kolegą, a gdy będziecie sam na sam, poprosisz go z ciekawości, aby ci pokazał to sławne cyankalium, o którem tyle piszą w dziennikach. Czy potrzebuję mówić ci resztę, tobie, któryś mię namawiał przed chwilą, ażebym sięgała do kasy Zameckiego? Jesteś bieglejszym odemnie w tych rzeczach.

— Ależ... to okropna trucizna!... Mówią że

byle kropelka jej dostała się na miejsce, gdzie skóra draśnięta...

— Kradnij w rękawiczkach, Alfredzie — wszak jesteś człowiekiem po temu, *vous, qui êtes toujours si bien ganté*. Zresztą cyankalium nie jest płynem, ale ciałem stałem, jak opowiadał dr. Chimerski. Jakże, przyszedłeś już do siebie? Podejmujesz się tego sprawunku?

— Kiedy tego chcesz koniecznie... Ale, Heleno...

— Dosyć tego, oto idzie Wanda z Rolińskim. Zrób-że oczy, jak przystało, *vous êtes tout bouleversé*.

Dalszy przebieg tego wieczora znamy; znaną nam jest także po części wyprawa p. Alfreda do miasta. Córki p. Skryptowicza i Helenka widziały go w aptece, i zastanawiały się później, jak sobie przypominamy, nad powodami, dla których w nieobecności pomocnika aptekarskiego, brał ze słoja coś podobnego z daleka do cukru. Mimo własnego pomięszania spostrzegły, że i on był zmięszany, ale przypisały to dawniejszemu, niemiłemu spotkaniu, jakie miał z niemi. Helenka uważała wszakże napis, który się znajdował na słoju, i starała się przypomnieć go sobie, ale nie mogła. Później pytała się p. Skryptowicza, jak się nazywa cukier po łacinie, w nadziei, że tym sposobem przypomni sobie napis. ale p. Skryptowicz zbył ją żartem. Jeszcze później, miała sny nieprzyjemne, i widocznie w zachowaniu się p. Alfreda w aptece było coś, co ją uderzyło w szczególny sposób. Nakoniec atoli zapomniała o wszystkiem, a w chwili, w której p. Zamecki i ks. Chyżycki weszli do salonu rymiszowskiego w towarzystwie Wacława, nie pamiętała już o niczem innem w świecie.

Ponieważ obowiązkiem autora jest, mieć lepszą pamięć, więc muszę tu jeszcze zwrócić uwagę czytelnika, że w skutek nie przybycia w porę powozu na stację, p. Zamecki i Helenka przybyli do zamku znacznie później od p. Alfreda. Przez ten czas, miał on sposobność zdać pani Zameckiej sprawę ze swojej misji.

Najfatalniej wypadła jej część pierwsza. Gomułowicz skrewił, zamiast dostarczyć pieniędzy, jak obiecywał, żądał grubej zaliczki w celu przeprowadzenia interesu, a tej mu p. Alfred dać nie mógł. Natomiast Berger wykonał niemą groźbę, uczynioną w chwili, gdy go p. Alfred zrzucił ze schodów. Jakiś Hebrejczyk zupełnie odmiennej od p. Bergera postaci pojawił się w hotelu, w którym stanął p. Alfred, i zaprezentował mu do wypłaty ów fatalny weksel na 15.000 złr. za który Berger żądał o 5000 więcej. Weksel ten wystawionym był przez nieznaną nikomu panię Zyslę Kranzberg, i żyrowanym na p. Efraima Dornbusch, obecnego posiadacza, który wprawdzie żądał tylko 15.000 złr. wraz z prawnemi odsetkami, ale natomiast zażądał kategorycznie wypłacenia całej sumy, a w przeciwnym razie oświadczał sucho i gołosłownie, że musi zaprotestować weksel, bo żyrantka, Zysla Kranzberg, wyjdzie z obligu. Ponieważ zaś p. Efraim Dornbusch, jak mówił, jest w nagłej potrzebie pieniędzy, więc nie kontentując się protestem, natychmiast pozwie p. Zameckiego o zapłacenie mu sumy wekslowej, i to nikogo innego, tylko p. Zameckiego, bo ten mu zaraz zapłaci. W chwili, w której p. Alfred przybył do Rymiszowa, skarga musiała już być podaną do sądu handlowego. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Najstarsze ślady istnienia człowieka w Europie.

(Ciąg dalszy).

Okres rena.

Przed piętnastu mniej więcej laty wykopano znów w rumowiskach okresu potopowego szczątki człowieka ze szczątkami zwierząt ssących; ale nie są to już kości mamuta ani skielety niedźwiedzia skalnego. Znajdują się resztki jelenia, bawołu, piżmowca i konia, ale najliczniejsze ślady szczątków są dzikiej kozy, łosia i wielu innych gatunków przebywających dziś na północy, lub pojawiających się w Pyreneach i Alpach. Rumowiska te jednak najobficiej są przemięszane ułamkami rogów, czaszek, zębów i kości rena, który za czasów niedźwiedzia skalnego i mamuta nie istniał lub był niesłychaną rzadkością.

Od tego więc stworzenia rozrodzonego najliczniej w tym okresie, drugi z rzędu najstarszy perjod istnienia człowieka nosi nazwę okresu rena. Przeważna ilość napotykanych zwierząt strefy północnej na poniżach Europy jest dowodem, że klimat ówczesny obniżał się albo też był ciągle zimnym. Że tak było, przekonał nas już po części okres mamuta. Okres o którym mowa, to czasy zimna, śniegów odwiecznych i lodów, lub zresztą kto wie, czy nie wtóry perjod lodowców. Przypuszcza tak wielu geologów, opierając twierdzenie na spotykanych śladach rumowisk kamiennych, już napływowych, a zatem nad gromadą potopową się znajdujących. I ani wątpliwości nie ulega, że wędrówkę martwych głazów, wędrówkę powtórną spowodowały świeższe powodzie.

Człowiek ciągle jeszcze zamieszkiwał pieczary, po części jednak przebywał już na powierzchni ziemi, na pewnych miejscowościach, przynajmniej w lecie, u stóp stromo zawieszonych ścian skalnych, które go ochraniały od niesłychanych dziś, dzikich burz i zamieci. Ale i w tym drugim okresie nie ma jeszcze śladów, żeby człowiek oswajał dzikie zwierzęta, żeby siłę ich wyzyskiwał. Nawet rena brał tylko na łowach, godząc weń zabójczem narzędziem — jakkolwiek — co do tego — zdania i przypuszczenia są niezgodne. O kruszcowych narzędziach, o broni istotnej z kruszcu, także ani słychu jeszcze. Wszelkie oznaki świadczą o starożytności nie wieków, ale wynoszącej co najmniej 10.000 lat. Nie wielu badaczy, ale jednak kilku utrzymuje, że okres, o którym mowa, przeciągnął się już do pierwszej jutrzenki historycznej. Twierdzą tak przynajmniej co do Europy środkowej.

Na wszelkie narzędzia nie znają innego materjału, prócz kamienia. Noże, buzdygany, groty do lanc z kamienia surowo obitego, jako tako opracowanego. Takich nożów mnóstwo znajduje się w Belgji w pokładzie kredowym, są one z krzemienia, krągłe jak dobrze przyrządzone krzesiwa. Obrobienie tu już wprawdzie staranniejsze, a w porównaniu z poprzednim okresem zdradza pewien stopień nabytej zręczności. Już tu widoczne także ślady narzędzi sporządzanych z materjału takiego jak: kości, racice i rogi. Nagromadzane w wielkiej ilości zapasy kredki czerwonej (surowej rubryki) dowodzą, że musiano używać tego jako kreski do pomalowania ciała, jak to i dziś jeszcze się dzieje u ludów dzikich. Różnobarwne a błyskotliwe kamyki, zęby, małże używane były jako ozdoba szyi, ramion, uszu, a dowodzą tego wiercone ręką ludzką dziurki w takich przedmiotach, ogładzenie ich, nadanie im pewnego kształtu, a nawet nawieszanie często na jeden sznur z łyka. Otóż i zarody próżności ludzkiej, a jak wcześnie występującej! Odzienie składało się po większej części ze skór i kożuchów. Ale że dbano i w odzieniu o pewne piękno, jest także dowód w płytach do wygładzenia szwów; płyty te czyli pierwotne żelazka sporządzone są z kawałków rogu, igły zaś z kości lub rogu delikatniejszego. Zwłoki umarłych grzebano w pieczarach w postawie leżącej, tak jak śmierć wyciągnęła członki ludzkie.

Niedawno bardzo odkryto skarb prawdziwy szczątków ludzkich, pomięszanych z kośćiami mamuta, jelenia, ale przeważnie rena. Odkrycie to zrobiono w departamencie Saône et Loire we Francji. Razem z wymienionemi szczątkami znalazło się tam mnóstwo broni z krzemienia, ciosanej bardzo starannie. Nieopodal od tego miejsca odkryto także cmentarz pierwotny, na którym znaleziono kilka bardzo dobrze przechowanych skieletów ludzkich. Według badań słynnego badacza dra. Pruner Bey, czaszki skieletów mają być czaszkami rasy mongolskiej. Trupy układane były na płytach i pomiędzy płytami kamiennemi.

Tu już znajduje się naczynie rozmaite, jakkolwiek surowe, niewypalane, ale naczynie kuchenne. Co dziwniejsze, napotyka się ślady zmysłu artystycznego, rysunki cięte na rogu i kości słoniowej, a nawet na łupku surowym. Rysunki te oddają, jakkolwiek bardzo niezgrabne ale bijące w oczy postacie mamuta, wołu piżmowego, konia, jelenia, rena, kozy skalnej i wielu innych zwierząt ssących. Znajdują się nawet na niektórych przedmiotach zarysy, usiłujące przedstawić człowieka, ba, nietylko zarysy, gdyż i cieniowanie gdzie niegdzie występuje, zrobione ostrem narzędziem. Niektóre z tych figur, chociaż niewprawną ręką kreślonych obudzają podejrzenie fałszerstwa, tak dalece, że tylko fachowi a sumienni badacze mogą rozproszyć te podejrzenia. Niedawno odgrzebano w departamencie Tarn et Garonne rogi rena i kość słoniową, na których wyryte są figury mamuta i rena. Pewna ilość tych sprzętów i narzędzi z czasów mamuta, rena, tudzież późniejszych a względnie do naszych czasów świeższych okresów, znajdowała się na wielkiej światowej wystawie w Paryżu w 1867 roku. Przedmioty te były wystawione w wewnętrznem zabudowaniu oddziału: „Histoire de Travail“ (historja pracy) a dodaćby można i sztuk, przedmioty te bowiem zapoznawały nas z wyrobami ręki ludzkiej nietylko pierwszych potrzeb, ale i jak stopniowo z doskonaleniem się człowieka wychodziły coraz doskonalsze z jego ręki, i ukazały się dziełami sztuki jeniuszu w naszych czasach. Zaprawdę, wspaniały to był widok i przejmujący a nie prędko nastręczy się sposobność oglądania go znowu tak zupełnym. *) Niektóre przedmioty odnoszące się do pierwocin bytu człowieka, lub też ważne ze względów etnograficznych, były także pomieszczone w innych oddziałach, jako związane ściśle z pewnym historycznym narodem, a nakoniec w budynku mis-

*) Nie mało szczątków znalezionych skieletów i sprzętów z okresów przedhistorycznych, zebrano w ostatnich czasach w muzeum St. Germain i uporządkowano osobno. Dyrektor zaś tego muzeum, pan Gabryel de Mortillet opisał je i wydał piękną książkę zaopatrzoną pięknemi jeszcze drzeworytami. Wyszła ta książeczka pod tytułem: Promenade au Musée de St. Germain. w Paryżu 1868.

*

syjnym. Najobfitszem i najsłynniejszem źródłem tego drugiego okresu, świadczącego o istnieniu człowieka, jest we Francji w departamencie Dordogne tak zwana „Station de la Madelaine.“ W miejscowości tej prócz kości wymienionych już zwierząt ssących, znalazło się mnóstwo noży z krzemienia, które obecnie rzecby można, stanowią już nową gałęź przemysłu, dostarczającą materjału zbieraczom i miłośnikom. To też nie pomylimy się twierdząc, że w obec gorączki poszukiwań, wyzyskiwaną być może obecnie dobra wiara i niejedna sztuka zostaje przemyconą, choć ani wątpić, fałszywa. Samiśmy mieli w ręku nóż krzemienny, z innej wprawdzie miejscowości, ale nóż, na którym były widoczne ślady obrobienia żelazem. We wspomnianym także departamencie odkryto niedawno nowe miejsce, jaskinię Cro-Magnon, w której również prócz skieletów znalazły się szczątki różnych sprzętów. Znalazły się także rzeczybudzące podejrzenie, że próżność, jak to się już wspomniało, jestbardzo starą słabostką, gdyż znalezione w tem właśnie miejscu małże morskie z przebitemi jak do ramienia otworami, mogły chyba służyć za naramienniki lub nawet na szyję. Nie brakło i tu prócz szczątków konia i rena. olbrzymiego mamuta.

Smutniejsze nieco ślady istnienia człowieka odkryto koło Chauvaux w Belgji, gdyż przekonano się ze szczątków i badania, że natrafiono na ślad ludojadów. Rozbite czerepy czaszek i kości były to szczątki młodego pokolenia płci męskiej i młodych kobiet, a ztąd wniosek, że z młodych było mięso smaczniejsze. Podłużne kości ludzkie, szpik zawierające były także połupane wzdłuż. Odkrycie to daje dość smutne pojęcie o stanie duchowym tego pierwotnego ludu. Stwierdzono podobne wypadki i w innych miejscowościach. W rzędzie pieczar belgijskich, dostarczyła także, oprócz wielu szczątków po zwierzętach i ludziach, nie mało sprzętów kamiennych pieczara w Chaleux nad Less'ą koło Dinant.

Niezwykłą obfitością odznacza się nowo odkryta miejscowość w torfowisku z okresu rena na ziemi niemieckiej, a mianowicie w pobliżu Schussenried koło Ravensburga nad Bodensee. Profesor Oskar Trass ze Sztutgardu zbadał wygrzebane tam przedmioty i opisał w zajmującej broszurze. Sprzętów kamiennych znaleziono tam mnóstwo, wszystkie prawie z krzemienia. Największa ilość kości i rogów były to szczątki rena i znajdowały się w pokładzie niższym, brunatnym, zmięszane z torfem i rumowiskiem. Musiało to być prawdopodobnie miejsce, na które zrzucano śmiecie, gruz i odpadki ze sporządzanych narzędzi przez lud pierwotny. Mimo to bardzo cenne odkrycie dla geologa i badacza starożytności. Inne w stanie natury znalezione tam rzeczy stwierdzają, że klimat musiał być zimny, lodowaty, odpowiadający czasom lodowego okresu.

Nad Salève, niedaleko granicy szwajcarskiej, znaleziono również nie bardzo dawno pokład zawierający szczątki rena, ale też i mnóstwo narzędzi kamiennych z czasów jeszcze dawniejszych, jak olbrzymie buzdygany. W samej Szwajcarji i w poniżu Renu mało dotychczas odkryto śladów rena. Francja natomiast obfituje w niezwykłe pokłady szczątków ludzkich z czasów mamuta i rena.

W ogóle zresztą nie masz prawie zakątka w Europie, gdzieby nie znaleziono śladów istnienia człowieka z dwóch pierwszych względnie najstarszych okresów kamienia — a w odkryciach tych napotyka się noże z krzemienia, kości, czaszki ludzkie. I nie tylko w stronach północnych znajdują się te szczątki, napotyka się je i w ziemi klasycznej starej Romy.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XL.

Z pierwszych swoich, bodaj niezliczonych — lat istnienia *Tydzień* rozpoczyna dziś rok drugi. Nie dawne czasy, kiedy-wiek taki dla pisma literackiego był już sędziwym a *memento mori* brzmiało ponuro w uszach wydawnictwa. Bywały tygodniki, które i takiej nie mogły doczekać się starości Te ginęły przedwcześnie z winy własnej, z winy nieobliczenia się z siłami materjalnemi i intelektualnemi. Inne wegetowały, póki brak udziału ze strony publiczności nie doszedł do zabójczego kresu. Dzisiaj zmieniło się to znacznie. Galicja czytuje o wiele więcej niż dawniej, a jeżeli uwzględnimy wyłącznie polskie tylko piśmiennictwo, to Galicja czytuje więcej od. W. Ks. Poznańskiego, i między dzielnicami polskiemi zajmuje w tej mierze drugie po Królestwie miejsce. W Poznańskiem niestety zbytek nabożeństwa z jednej, a z drugiej strony niemieczczyzna ruguje z dawnego ich miejsca książki i pisma polskie. Cokolwiek nie tchnie duchem skrajnego ultramontanizmu, nie może tam liczyć na powodzenie. Nie-ultramontanie trudno, aby się obchodzili bez pokarmu umysłowego, ale odbyt księgarski świadczy, że albo czytują po niemiecku, albo też musi ich być bardzo mało. Takiego zacietrzewienia się całego ogółu w kierunku ultrakatolickim, takiego opanowania go przez chciwe władzy duchowieństwo, jakie widzimy w Poznańskiem, nie bywało w Polsce w chwilach największego jej upadku — ani wówczas, gdy z takiem barbarzyństwem krajano żywcem i palono Łyszczyńskiego,*) ani wówczas, gdy wizytatorowie rzymscy srogością swoją nawet zakonników doprowadzali do samobójstwa, **) ani nakoniec,gdy surowe dla świeckich prawa, dla księży i mniszek okazywały się do zbytku łagodnemi.***) I wówczas bowiem, i później zdarzały się wypadki, w których i świeccy ludzie i duchowni słowem i czynem protestowali przeciw nadużywaniu religji, jakie widzimy dzisiaj. Na dowód, przytoczę parę takich wypadków.

„Doszło do wiadomości króla Jana III, że na Wołyniu w pewnym domu odzywają się głosy duchów, wieszczące przyszłość. X. Gniewosz Jezuita twierdził że to cud istotny. Sobieski wysłał starostę Gałeckiego dla sprawdzenia rzeczy, a gdy ten powróciwszy z wiadomością, iż owe głosy są szalbierstwem, mniej oględnie wyraził się o Jezuitach przy O. Adryanie Piekarskim, ich prowincjale, ten zachorował, i umarł powtarzając bezustannie: *Laesa est societas!* (Szujskiego Dziejów tom IV. str. 75).

Dzisiejsze Poznańskie detronizowałoby króla, któryby się ośmielił sprawdzać cud, już przez OO. Jezuitów sprawdzony.

W ośm lat później, wytoczył wizytator Franciszkanów pozew przeciw X. Długoszowi. konwentu lwowskiego, profesorowi teologji, o herezję. X. Długosz twierdzić miał mianowicie:

1. Że odpusty urządzone są dla zysku kościoła, nie zaś dla dobra i poprawy wiernych.

2. Że wykluczenie z kościoła, cenzury i inne kary kościelne (wówczas nader często używane) są nieprawne i niezgodne z duchem religii.

3. Że kościół niepotrzebnie faworyzuje pewne uzmysłowienia przedmiotów czci i pobożności religijnej.

4. Że trybunał Św. Inkwizycji jest szkodliwy i zgubny.

5. Że zakony są wymysłem ludzkim, nader bezpożytecznym, nie zaś instytucją boską.

Otóż mimo gorliwości O. Corviniego, nietylko nic się nie stało w lwowskim trybunale inkwizycyjnym O. Długoszowi, ale jeszcze donosiciela, niejakiego O. Kulinowskiego, zamknięto na rok do kozy. Coby się dzisiaj stalo z takim heretykiem, gdyby w Poznaniu istniala Św. Inkwizycja, i gdyby go oddano w jej szpony?

Najjaskrawszym jest trzeci wypadek najpierw dla tego, że opowiada go wychowanek Jezuitów Franciszek Karpiński, a powtarza Maurycy hr. Dzieduszycki, a powtóre, ponieważ działającą osobą jest nie kto inny, jak tylko sam ksiądz arcybiskup Wacław hr. Sierakowski, swojego czasu filar i podpora wszelkiej nietolerancji religijnej i któremu pod niejednym względem ks. kardynał Ledochowski nie wart rozwiązać rzemyka u obuwia.

Około r. 1760 żona Włocha Tamburiniego, rodem Polka, przebiegła i uczona, zaczęła słynąć we Lwowie z cudownego natchnienia, objawiającego się nietylko wieszczeniami i kazaniami, ale nadto, zupełnem bez szkody dla zdrowia obchodzeniem się bez jadła i napoju. Wyrywały ją sobie najpierwsze domy, rozprawiała z okna lub balkonu do narodu o rzeczach nadprzyrodzonych, uchodziła za świętą i odwidzali ją nawet księża i zakonnicy. Ale — był to najpierw wiek Woltera, a potem ks. arcybiskup nie lubił, aby kto w jego djecezji był świętym bez jego pozwolenia, co zresztą zgadza się zupełnie z mojemi wyobrażeniami o karności kościelnej. Kazał tedy przywołać panią Tamburini, siąść do objadu i jeść mięso. O dziwo! Ze łzami wprawdzie, ale jadła! Następnie zakazał jej ks. Sierakowski miewać kazania. To zdyskredytowało zupełnie kandydatkę do glorioji niebieskiej, naród zaczął badać rzecz bliżej, a ponieważ sąsiedzi wiedzą, jak kto siedzi, więc wyszło na jaw, że chybiona święta nietylko codziennie wypijała kilka filiżanek kawy i zjadała bochenek chleba, ale nawet przyjmowała gości w negliżu, a pobożnemu, chociaż młodemu

---

*) Kazimierz Łyszczyński, szlachcic z pod Brześcia litewskiego, oskarżony (NB. fałszywie) o ateizm, w r. 1688 przez sąd duchowny skazany był na auto-da-fe i w przytomności Jana Sobieskiego stracony w ten sposób, iż ucięto mu najpierw język i rękę, a potem miano go żywcem wrzucić w ogień, ale król nie mogąc znieść tego widoku, kazał mu przed spaleniem uciąć jeszcze i głowę. Opozycja króla i rozsądniejszej szlachty przeciw oddaniu szlachcica pod sąd duchowny nic nie pomogła wobec powszechnego fanatyzmu żywionego przez Jezuitów.

**) O. Corvini wizytując klasztor Franciszkanów we Lwowie, uwięził na błahej podstawie młodego zakonnika, Włocha urodzonego w Krakowie, nazwiskiem Amadei. Nieszczęśliwy z obawy przed Św. Inkwizycją przebił się nożem w więzieniu. Działo się to r. 1688.

***) X. Stanisław Wojenkowski, przełożony kapituły lwowskiej, utrzymywał jakieś stosunki z Pannami zakonu Brygidek, Konstancją i Krystyną Modrzyńską, i Nieprską. Przełożona klasztoru, Anna Milewska, karciła siostry za „długie bawienie po za kratami,“ wskutek czego siostry wzięły od ks. Wojenkowskiego truciznę i w roku zbawienia 1682 za pomocą tejże wyprawiły przełożoną, podeszłego już wieku i bogobojną niewiastę, prosto do nieba. Arcybiskup Lipski złożył sąd, który skazał kanonika na grzywnę 500 złp. i na utratę głosu w kapitule, zakonnice otrzymały chłostę i za karę — przeniesione zostały do innego klasztoru. Tak opowiada rzecz ks. kanonik Józefowicz w dziele, w którym sławi cnoty arcybisknpów lwowskich.

jeszcze Franciszkowi Karpińskiemu według własnych jego zeznań pozwalała całować się, i to nie w Chrystusie, ale.., w alkierzu! Wszystko to powtórzone jest z żywota Wacława hr. Sierakowskiego, pióra Maurycego hr. Dzieduszyskiego, i znajduje się tamże na str. 154. Pytam się teraz, czy dzisiejsza Ludwika Lateau mogłaby ostać się w obec arcybiskupa, któryby jej *ex officio* kazał siadać do objadu, jeść, i nie robić nadal żadnych cudów?

Wszystko to świadczy, że każdego czasu bywało w Polsce więcej światła, niźli go szerzą pewne pisma i książki, stanowiące wyłączny pokarm duchowny naszych braci w Poznańskiem. Opowiedziane zaś jest tutaj nie dla zrobienia przytyku Wielkopolanom, ale na pochwałę ściślejszej mojej ojczyzny, w której ekscentryczności w rodzaju pani Tamburini albo ks. Piekarskiego nie popłacają, i w której prawdopodobnie fanatyzm zwróciłby się raczej przeciw krajaniu mniemanych ateistów i paleniu ich żywcem, niźliby domagał się takich operacyj. Jednem słowem, chwalę sobie Galicję, iż czytuje *Tydzień* i moje Pogadanki, dzięki której to okoliczności rozpoczynamy pod dobremi auspicjami drugi rok w pierwszem stuleciu naszego istnienia. W obec tak uroczystej okazji, milknę dzisiaj, ażeby nie psuć solennego nastroju wywołanego powyższemi słowami.

Jan Lam.

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

V.

Stan rzeczy w Unyoro.

Stanęliśmy gotowi do podróży 18. marca 1872, a pożegnawszy się z majorem Abdullah, zaczęliśmy się spuszczać z wyżyn Fatiko, poczem wstąpiliśmy w kraj pierwotnej dzikości wiodący do samego Unyoro. Żyzna ta przestrzeń nie jest zamieszkałą z powodu zatargów licznych pogranicznych plemion, które ją okalają. Na wschodzie ciągnie się okolica Umiro, południe graniczy z Unyoro, zachód z krajem Madi, a środkowa część osiemdziesiąt mil rozległa, zostawiona na siedzibę dzikim zwierzętom, służy za ulubioną arenę łowów dla sąsiednich plemion, które często zapuszczając się za zwierzyną, wpadają tym sposobem w zatargi jedne z drugiemi.

Na noc zatrzymaliśmy się u czystego strumienia rzeki Un-y-Ame, która licznemi kanałami przerzyna tę okolicę. Pierwszego dnia, przeszliśmy małą przestrzeń, krajowcy bowiem spodziewali się swoich żon z zapasami żywności na drogę, które wkrótce ukazały się w licznej gromadzie, znosząc gęstą papkę z mąki dury, co miało służyć za pożywienie na drogę wynoszącą 160 mil tam i na powrót. Krajowcy ilekroć podróżują przez dzikie okolice, przechodzą je zwykle forsownemi marszami; mieszkańcy Fatiko powracając z Unyoro do domu, zamierzali także zrobić jeden tylko nocleg w ciągu siedmdziesięciu ośmiu mil.

Mieszkańcy Fatiko stoją moralnie nierównie wyżej jak Loborejczycy, żaden bowiem nie uchylił się od raz przyjętego obowiązku tragarza, a jeden nawet, który zgodziwszy się, z powodu nabrzmiałej nogi nie mógł przedsięwziąć podróży, zwrócił krowę, tłumacząc przyczynę, dla której nie dotrzymał słowa.

W czasie naszego pochodu przez niezamieszkałą część kraju, ucierpieliśmy wiele dla braku wody; małe strumienie przerzynające rozległe łąki, były błotem zamulone, ponieważ słonie i bawoły przychodzą do wody całemi stadami. W dodatku, nie mogliśmy nawet nacieszyć się polowaniem; otwarte przestrzenie nie dozwalały podejść zwierzyny, i przez cały czas zabiliśmy nie więcej jak trzy antylopy. Po pięciu dniach męczącej podróży doszliśmy do pięknych brzegów Białego Nilu, zarosłych rzadkim lasem, i tam na skale, przeciwległe położonej ostatniej stacji Abou Saooda, spoczęliśmy po trudach.

Nie łatwo opisać, jaka zmiana zaszła od ostatniego mego pobytu w tych stronach. Dawniej były te okolice prawdziwym rajem, wydając wszystko co można zamarzyć. Liczne wsie, rozsiadłe wśród ładnych klombów drzew, świadczyły o życiu i przemysłowym ruchu mieszkańców, którzy przyzwoicie zawsze ubrani w odzież sporządzoną z kory drzewnej własnego wyrobu, oddawali się z zamiłowaniem zajęciom koło roli. Dziś wszystko zmienione; pustka dokoła, ludność opuściła swoje siedziby, ani jedna wieś nie pozostała z licznych niegdyś osad. Takie jest niechybne następstwo osiedlenia się handlarzy z Khartum; gdziekolwiek noga ich postanie zaludnione okolice zamieniają się w pustkowia.

Sulejman i Eddres, dwaj wakile Abou-Saooda, dobrze znani z poprzedniej podróży, przybyli mnie odwidzić, a gdy im wyłożyłem teraźniejszy stan rzeczy, byli tem mocno zdziwieni; nigdy bowiem przebiegły Abou-Saood, nic im nie wspominał o wychodzącym terminie kontraktu zawartego z rządem przez firmę Agad & Co. Wkrótce przybył także szejk Quonga, z liczną gromadą swoich ludzi z drugiej strony rzeki; był on także moim znajomym i dawnym doradcą Kamrasi, króla Unyoro. Z jego opowiadań dowiedziałem się, że Kamrasi umarł przed dwoma laty, a synowie jego dobijając się tronu, szukali każdy z osobna przymierza z handlarzami. Cywilna wojna zawsze sprzyjała zamiarom handlarzy, a liczne kompanje rozsiane po różnych stacjach w Madi, Schuli i Unyoro, jeden tylko miały cel, mianowicie powodzenie firmy Agad & Com.

Kilka tych oddziałów, dowodzonych przez niezawisłych wakilów, przyszło do Unyoro, aby poprzeć sprawę każdego pretendenta z osobna, i podstępnie pracowały nad ruiną wszystkich razem, z wyjątkiem tego, który był w możności dostarczenia okupu w kości i niewolnikach. Na scenie tej wojny domowej występowali dwaj ulubieni synowie nieboszczyka króla Kamrasi, Kabba Rega i Kabka Miro, jako też Rionga, stary nieprzyjaciel familji a kuzyn króla. Kompanje Abou Saooda podtrzymywały wszystkich trzech pretendentów, bogacąc się w zamian za udzielaną pomoc kością słoniową i niewolnikami. W końcu rozgrywając ostatnią partję, zabili Kabka Mirę, tron oddali Kabbie Rega, a z Riongo ułożyli się, aby na czas jakiś ustąpił z placu boju, usuwając się w dalsze okolice i tam czekał spokojnie wydarzającej się sposobności wystąpienia ponownie przeciw młodemu królowi.

Oto szczegóły odnoszące się do stanu politycznego okolic Unyoro. Wysłuchawszy opowiadania, zapewniłem Quonga i przybyłych z nim szejków, o protekcji rządu Egipskiego, przeciwko bezprawiom handlarzy. Następnie wyjaśniłem im teraźniejsze położenie Abou Saooda, stosunek jego z rządem, i dając zawsze chciwym bawidełek murzynom hojne dary z paciorków, powierzyłem w ich ręce poselstwo i znaczne prezenta dla króla Kabba Rega.

Do Sulejmana, wakila firmy Agad & Co. napisałem 24 marca ostrzegając go, że w dwudziestu sześciu dniach upływa termin kontraktu Abou Saooda z rządem, a więc do tego czasu ludzie jego powinni pod karą więzienia przygotować się na opuszczenie okolicy, aby powrócić do Khartum. Ci zaś, którzyby życzyli sobie zaciągnąć się jako nieregularna siła rządowa, mają mi podać swoje nazwiska przed upływem dwóch dni. Początkowo wielu bardzo przystało na tę propozycję; wkrótce jednak rozmyślili się i zaczęli zwlekać, co mnie upewniło, że tym ludziom nigdy nie można wierzyć. (C. d. n)

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Acten der Ständetage Preussens unter der Herrschaft des Deutschen Ordens. — Herausgegeben von Dr. M. Toeppen. Band I. Leipzig 1874. 8. str. XXVII. 381.*)

(Dokończenie).

Każde z większych miast handlowych tak w Polsce jak w obczyźnie otrzymywało od panujących przywileje, na mocy których posiadało prawo, że każdy towar w obrębie miasta wieziony miastu musiał być opłacanym. Mieszkańcy takich miast byli często uwalniani od płacenia ceł w obwodach innych miast. Często jednakże się zdarzało, że mieszkańcy jednego miasta omijali cła przez drugie ustanowione — a ztąd powstawały długie spory, które tylko werdyktami królów mogły być na zawsze ubitemi. Znanym jest spór Krakowian z Sądeczanami w latach 1313—1330 (Morawski: *Sądeczyzna I*); znane nakazy królów Władysława Jagiełły i Warneńczyka, aby kupcy nie omijali Lwowa (*Akta grodz. i ziemskie*) i znany spór Bardyowa z zakonnicami w Sączu o płacenie myta, ciągnący się prawie półtora stulecia, bo od połowy XIV. do początku XVI. wieku (Janota: *Bardyów 20.*) Jeżeli omijanie cudzych przywilejów powtarzało się tak często w tym samym kraju, o ileż częściej musiało się to dziać ze strony miast zagranicznych wobec krajowych i na odwrót? Toruń posiadał prawo składu, a kupcy krakowscy i inni omijali pomimo tego Toruń i cła przez miasto nałożone, płynąc Wisłą prosto do morza. Na ten tedy czyn skarżą się Torunianie przed W. Mistrzem w r. 1403 a Konrat Jungingen zakazuje przemytnictwa pod karą utraty wiezionych towarów (str. 98—101.)

W części pierwszej znajdujemy jeszcze uchwałę z r. 1408, aby żadnych rzeczy nigdzie nie wywozić, najmniej zaś do Polski (str. 114.)

Druga część jak powiedzieliśmy obejmuje czas od r. 1410 do 1413. Po bitwie pod Dąbrownem (15. lipca 1410) zdawało się, że szybkie operacje wojsk Jagiełły zadadzą ostatni cios Krzyżakom; odpadanie poddanych od Zakonu było ogólne, tylko Malborg trzymał się jeszcze. Miasta poddawały się zwycięzcom: Elbląg 22go lipca, za co już 30. otrzymuje w nagrodę posiadłości od Jagiełły (str. 140—141) biskupi przy-

bywają jeden po drugim do króla pod Malborg— Torunianie po kilkunastu dniach wahania złożyli przed 7. sierpnia hołd, po nich Gdańsk zachęcony przez biskupa wrocławskiego Jana. Mimo to musiał Jagiełło z przyczyn nam nieznanych już z końcem września cofnąć się pod Inowrocław, a z nadchodzącą zimą zawarto 1. lutego 1411 pokój w Toruniu. Odpadłe miasta, wracając w poddaństwo Zakonu, zażądały jednak lepszych praw dla siebie. I tak już 22. lutego 1411 zbierają się Stany, a podając Wielkiemu Mistrzowi w 26 punktach przedstawienie, proszą o zniesienie nadużyć. Pierwszy punkt jako najcharakterystyczniejszy przytaczamy na tem miejscu: „...*Unsere privilegien... di uns das meyste teil gebrochin sint unde nicht gehaldin, das uns die vorbas mer gehalden sullen werden...*“ Nie wysłuchał widocznie Mistrz tych próśb, bo Jagiełło wstawiał się w r. 1411 za miastami, aby nie doznawały prześladowania (*persecutionem pati.*)

Do sprawy niepłacenia trzeciej raty kosztów wojennych według pokoju Toruńskiego, przybywa tutaj list miast pruskich do Stanów Niemiec z dnia 16. stycznia 1412 r. usprawiedliwiających postępowanie Mistrza (str. 193 i następ.) A do kwestji rozstrzygnięcia cesarza Zygmunta między Polską a Zakonem list posłów Stanów pruskich w tymże celu do Węgier wysłanych (str. 201.)

W r. 1413 1. maja pisze król Władysław Jagiełło do Wielkiego Mistrza, wstawiając się za wygnańcami z kraju pruskiego. Sprawa ta, choć niemal zupełnie nowa, nie obchodzi nas tu tyle, co paleograficzna strona tego dokumentu. Dr. Toeppen opisuje go tak: „*Original mit Resten des Siegels in Königsberg* D. O. A. XLV. *b. 36. Das Papier hat von Nässe sehr gelitten.*“ Dotychczas nie znaliśmy dokumentu z polskiej kancelarji wychodzącego z tak wczesnych czasów, któryby był na papierze pisany. Rozumie się, że pieczęć nie jest przywieszoną, lecz na papierze wytłoczoną. Podobnie, choć na pergaminie wytłoczona pieczęć Kazimierza Jagiellończyka znajduje się w posiadaniu prywatnem we Lwowie. Już sam materjał, tj. papier wzbudzić musi podejrzenie, czy nie jest to jakie podrobienie. Dzień wystawienia zgadza się jednak z itinerarium Jagiełły, a i inne okoliczności nie pozostawiają nic do życzenia. „Mielibyśmy tedy jedyny dotychczas przykład, że z kancelarji Władysława Jagiełły wychodziły dokumenty na papierze i z wyciśniętą pieczęcią.“

Część trzecia obejmuje lata 1413—22.

Zatargi Zakonu z Polską nie ustawały. Jagiełło pisze tedy 30. czerwca 1414 do Stanów pruskich, aby nalegały na Mistrza, iżby krzywdy przez poddanych jego Polsce zadane powetował, w przeciwnym bowiem razie sam o zadosyćuczynienie się upomni (str. 247), na co Stany odpowiadają, że Mistrz będzie się trzymać traktatów. W „wojnie głodowej“ (*expeditio famelica*), która teraz wybuchła i w traktatach ją kończących biorą Stany pruskie choć niechętnie (str. 251) udział (254 i nast.)

Jan, biskup włocławski, który od roku 1410 (patrz wyżej) nieprzyjaznym był zakonowi, godzi się z Mistrzem Michałem Kuchmeisterem 27go września 1417 (str. 310).

Do zatargów Polski z Zakonem w r. 1418 przybywają tu (323) nowe i zajmujące szczegóły.

Do sprawy husytyzmu przybywa także nieznany dotąd list W. Mistrza do Stanów pruskich, z którego aż nadto przebija bojaźń połączenia się Polaków z Czechami (str. 346).

Dobiliśmy tedy do końca, nie wymieniając pomniejszych rzeczy, boby łamy pisma na to nie pozwoliły.

Na zakończenie wypowiadamy przekonanie, że gdy pierwszy zaraz tom o tyle wzbogacił dzieje nasze, to od każdego nowego nierównie więcej spodziewać się możemy. Oczekujemy tedy ukazania się nowego tomu (którego pierwsze arkusze już są odbite) w nadziei, że przyszłe sprawozdanie obszerniej wypadnie. *M.*

Jubileusz Michała-Anioła

przez

Dr. Artura Wołyńskiego.

Florencja d. 20. września 1875.

(Kto był Michał-Anioł? — Jego celniejsze dzieła. — Przygotowania i różne roboty we Florencji. — Uroczystości czerwcowe w Chiusi i Caprese. — Pogrzeb Karola Botty w Santa Croce. — Jubileusz Florencji, jego program i różne zabawy. — Pochód na plac Michała-Anioła. — Otwarcie Muzeum Michała-Anioła. — Niemcy górą. — Dziennikarze zagraniczni. — Msza żałobna Verdi'ego. — Różne dzieła sztuki i publikacje z powodu jubileuszu: Gotti, Milanesi, Parserini-Guasti.)

Dzisiaj wreszcie zakończył się długi szereg uroczystości jubileuszowych, które na całe życie uczestniczącym w nich pozostawią miłe wspomnienie. Zbyt byłaby długą moja relacja, gdybym się chciał dzielić wszystkiemi wrażeniami i dla tego będziecie mieli opis ogólnikowy, w którym tylko punkta wybitniejsze będą podniesione i wyświetlone o tyle, o ile tego potrzeba, aby waszej publiczności dać wyobrażenie, jak tutaj szanują wielkich ludzi, zasługę ich i pamięć.

Nim przystąpię do opisu jubileuszu, winienem odpowiedzić na pytanie, jakie się tu naturalnie w myśli każdego rodzi: kto był ów mąż, który sobie na taką wdzięczność potomków zasłużył, który był przedmiotem tak niezwykłych uroczystości? Był to genjusz, którego pod względem sztuki nikt nie przewyższył, a nawet nikt dotąd nie dorównał mu. Otrzymawszy zaledwie elementarne wykształcenie, po kilku miesiącach, nie powiem dopomagania, ale przypatrywania się, jak Ghirlandaio swemi freskami zdobi kościół florencki *Santa Maria Novella*, w piętnastym roku życia występuje z olejnym obrazem przedstawiającym św. Antoniego napadniętego przez djabłów, który wzbudził powszechny podziw, a nawet uznanie i zazdrość samego nauczyciela. W rok później, zaledwie Bertoldo obeznał tegoż samego młodzieńca z artystycznemi zaletami greckich figur zgromadzonych w ogrodzie Medyceuszów, zaledwie tenże zdołał przyjrzeć się jak *scalpellini* władają dłutem i ludzkie kształty wydobywają z marmuru; jak jego rówieśnik Torrigiani modeluje w glinie, a już w 16-roku życia z kawałka podarowanego mu marmuru wykuł piękną głowę starego Fauna, do dziś dnia przechowywaną w galerji *degli Uffici*, która tak dalece podobała się Wawrzyńcowi Wspaniałomyślnemu (Lorenzo Magnifico), iż tenże niedługo potem po śmierci Bertolda, ani na chwilę nie wahał się zrobić go dyrektorem swego muzeum. Samouczek ten tak spotężniał z wiekiem, iż niemal każda praca jego pędzla lub dłuta była arcydziełem, które po dziś dzień podziwiamy w alfreskach kaplicy Sykstyńskiej i Paulińskiej, w Parkach, w Grobach Medyceuszów, Dawidzie, Chrystusie, w Pietà, Madonnie, (w Brouges), biuście Pawła III—a zwłaszcza w Mojżeszu.

Tenże sam genjusz młodzieńcem już będąc, w czasie swego pobytu w Rzymie uderzony wspaniałością tamecznych świątyń i pałaców, skopjowawszy sobie kilkadziesiąt planów tych budowli, tak się wykształcił w architekturze, iż dzieła jego są po dziś dzień niezrównanemi arcydziełami jak: Bibljoteka S. Lorenzo i kaplica z grobami Medyceuszów we Florencji, kościół N. M. Panny Anielskiej przerobiony z ruin pozostałych po Termach Djoklecjana, Pałac Farnese, a zwłaszcza kopuła św. Piotra w Rzymie. Na zakończenie dodać należy, iż tenże sam człowiek, pomimo nieznajomości języków klasycznych, był dobrym poetą odznaczającym się czystością i jędrnością języka tak dalece, iż Akademja della Crusca na wzór daje cytaty z niego; biegłym inżynierem, który pod okiem nieprzyjaciela potrafił ufortyfikować miasto i wznieść bastjon na San Miniato, wreszcie zacnym patrjotą i obrońcą wolności ojczystej, dla której poświęcił swą karjerę, przyjaźń i protekcję swych protektorów — Medyceuszów, z których jeden pod imieniem Klemensa VII siedział wówczas na stolicy Piotrowej i był sprzymierzeńcem cesarza Karola V.

Tym niezrównanym malarzem, rzeźbiarzem i architektem, tym znamienitym poetą i inżynierem był Michał Anioł Buonarroti, który urodził się w Caprese, gdzie ojciec jego Ludwik był komisarzem Rzeczypospolitej, to jest rządcą tej miejscowości, dnia 6go marca 1474 roku, a umarł w Rzymie 17. lutego 1564. W pięć miesięcy później ciało jego przez Leonarda bratanka, i agentów W. księcia Toskany zostało wykradzione z kościoła Apostołów i tajemnie sprowadzone do Florencji, gdzie z wielką pompą zostało pochowane w Santa Croce. Daty te i fakta dla tego tu zamieściłem, iż mi posłużą za podstawę do dalszego opowiadania.

W 1864 roku, jużto z powodu, że współcześnie przypadał trzechsetny jubileusz urodzin Galileusza, który tegoż samego dnia przyszedł na świat, co Buonarroti ducha wyzionął, już to że Florencja przygotowywała się na przyjęcie Stolicy Zjednoczonej Italji, już wreszcie dla bliskości rocznicy urodzin i śmierci, żadnych uroczystości na uczczenie Michała Anioła nie było, a wszystkie wysilenia i przygotowania skierowano na obchód czterechsetnej rocznicy jego urodzin. Rzeczywiście uczczono go publicznemi robotami tak, iż żaden ze śmiertelników czemś podobnem poszczycić się nie może. Całą górę San Miniato około bramy św. Mikołaja przylegającej do Arna, na której Michał Anioł w obronie Rzeczypospolitej Florenckiej 1530 roku złożył tyle dowodów swego patrjotyzmu, poświęcenia i biegłości inżynierskiej, zamieniono, że tak powiem, w *ateńskie Akropolis*: otoczono ją bowiem mnóstwem balustrad, schód kamiennych, szerokiemi alejami dla powozów i chodnikami dla pieszych, ozdobiono klombami, sztucznemi grotami i fontannami najrozmaitszych kształtów; dalej na szczycie jej splanowano pod jego imieniem olbrzymi plac, dający kilkudziesięciom tysięcy ludzi wygodne pomieszczenie, a w dwóch jego ogniskach eliptycznych wzniesiono pomnik z samych dzieł jego złożony — i piękny portyk z trybuną w pośrodku dla umieszczenia statuy.

Pomnik z samych dzieł Michała Anioła powstał w następujący sposób: już w 1859 r. Leopold dla zachowania Dawida, grożącego zawaleniem się, polecił Papiemu, właścicielowi giserni bronzów, odlanie takowego. Zdjęto zaraz formę, ale dopiero w sześć lat później odlano z bronzu Dawida kosztem rządu italskiego — właśnie w chwili, gdy zaczęto trasować plac Michała Anioła i myśleć o jego jubileuszu. Wtedy to postanowiono umieścić Dawida na placu Michelangelo, a dla większej okazałości pomnika ozdobić jego piedestał czterema leżącemi figurami z grobu Medyceuszów przedstawiającemi „Dzień i Noc,“ „Zmierzch i Brzask.“ Naprzeciw tego pomnika wzniesiono w pięknym skwerze po nad olbrzymią fontanną portyk, czyli *Loggię*, aby w jej środkowej trybunie umieścić statuę Michała Anioła, w pobocznych zaś pawilonach cukiernię. Statuę tę ma wykonać bezpłatnie Jan Dupré, za zwrotem tylko wydatków niezbędnych, na pokrycie których podczas jubileuszu poczęto zbierać składki; a na czele subskryptorów stanęli Messonier i Guillaume, przedstawiciele Instytutu francuskiego, ofiarowując każdy po 100 franków.

Nie dość na tem, iż w bronzowym odlewie zabezpieczonym był Dawid od zniszczenia, trzeba było pomyśleć o przechowaniu samego oryginału — i dla tego według planu de Fabris'a zbudowano z fiezolańskiego piaskowca koloru ciemno-popielatego okazałą trybunę w Akademji Sztuk pięknych, którą przeznaczono na muzeum Michała Anioła. Wreszcie należało wyrestaurować i upiększyć dom w Caprese, w którym się urodził Michał-Anioł i dom Buonarrotich we Florencji, w którym tenże mieszkał w czasie swego tutaj pobytu, a w którym jego bratanek Leonard urządził familijne muzeum, zgromadziwszy w niem wiele rękopisów, listów, rysunków, szkiców i pamiątek pozostałych po wielkim artyście, a także galerję

obrazów, przedstawiających różne epizody z jego życia. Wszystkie te roboty, a zwłaszcza połączenie placu *Michelangelo* z miastem przez dwie piękne aleje wijące się pomiędzy wzgórzami i wiodące do bramy Rzymskiej i św. Mikolaja, nadto zwalenie kilkudziesięciu domów nad Arno i przeprowadzenie szerokiej ulicy od mostu *Delle Grazie* aż do bramy nowej św. Mikołaja (umieszczonej o jakie 300 metrów dalej od starej wieżycy św. Niccolo w 1330 r. zbudowanej przez A. Pisano i dotąd ze czcią religijną konserwowanej) tyle czasu zabrały, iż pomimo pośpiechu na termin żądany, to jest na 6. marca 1874 roku, wykonać się nie dały, i obchód czterechsetletnej rocznicy urodzin Michała Anioła na półtora przeszło roku musiał być odłożony. Na zakończenie tych luźnych wstępnych wiadomości dodam, iż plac Michała Anioła—spacer zwany *ai Colli* i *Lungarno Serristori* kosztowały miasto do 40 miljonów lirów.

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Angielska.

„The High Mills" By Katherine Saunders, Author of „Gideons Rock" etc. 3 vols. 1875, London, Henry s. King et. Comp. — „Loring and Loth" By the Autor of „Rosa Noel" 3 vols. 1875. London, Bentley et Son. — „Castle Daly" By Annie Keary 3 vols. 1875, London, Macmillan et Comp.— „Fair but not False" By Eevelyn Campbell. 1875, London, Ibister et Comp.

Berło romansopisarstwa w Anglji przechodzi coraz przeważniej na płeć piękną. W tej chwili mamy przed sobą cztery powieści, z których trzy wyszły z pod kobiecego pióra, a dwie przynajmniej noszą na sobie najwyraźniejsze i niezaprzeczone tego ślady. Pani Katarzyna Saunders w „The High Mils" przedstawiła idealny typ bohatera, w którym potęga fizyczna, ba herkuliczność prawie, z dziewiczą delikatnością i czułością się łączy. Rozumie się, że nie braknie tu tajemnicy. Owszem, przez całe trzy tomy, nie wiemy co właściwie sądzić o bohaterze i jego przeszłości, aż wreszcie w samym końcu odkrywa się po za nim zbrodnia, a cała przepiękna działalność jego w romansie okazuje się tylko pokutą. W końcu „Numa wychodzi za Pompiljusza!".—Pani, czy panna Ewelina Campbell skromniejszemi kroczy drogami. Dała nam historję miłosną na tle obyczajowem prowincjonalnego miasta angielskiego. Przez niezliczoną ilość posiedzeń herbacianych i niesłychanie nudnych pogadanek, przewija się cichutka i przyzwoita miłość. Dodajcie do tego pół tuzina balików dziecinnych, a zbiór roskoszy zawartych w tej powieści będzie zupełny. Autorka tak dbałą jest o nerwy tkliwych swoich czytelników, iż po jednej z zabaw dziecinnych, aby uspokoić o zdrowie maleńkich tancerzy, — zapewnia iż „tort był wprawdzie obficie owocami smarzonemi i cukierkami okryty, zdrowy jednak i dobrze wypieczony!"

Żywo i dojrzale odbija od tych robótek romans Anny Keary „Castle Daly". Zadaniem jego jest przedstawienie życia irlandzkiego w r. 1848 i w kilku następnych latach. Widocznie autorka opowiada rzeczy, które widziała; obrazy jej są pełne życia i plastyki. Z wielką sympatją ale i z równą przedmiotowością przedstawia wydatne cechy celtyckiego plemienia. Widzimy tu ową gorącość serdeczną Irlandczyka i entuzjazm jego dochodzący niekiedy aż do ślepego uporu, jego uczciwe poprzestawanie na małem — ale zarazem i brak wytrwałości w pracy; — widzimy obok wielkiej energji uczucia, apatję rozumową zupełną. Stosunek szlachty wiejskiej i włościan wybornie narysowany. Najświetniejszemi typami są: Daly, właściciel zamku tegoż nazwiska i syn jego Connor, obaj w rewolucyjne ruchy zawikłani. Doskonałą ich antytezą są dwie postacie anglików: Thornleya i jego siostry, wcielenie systematu, spokoju i powagi.

Kontrast tej pary z poprzednią z silnym a nader delikatnym humorem wyzyskany. W całości książka ta przerasta wszystkie płody współczesnej belletrystyki angielskiej i na gorące polecenie zasługuje.

Ostatnią wreszcie nowością jest „Loring an Loth" utwór pisarza znanego już z wielce drastycznej powieści „Rosa Noel". I tej nie braknie na drastyczności. Jest to nowy warjant na temat don-żuanizmu, zaprawiony do smaku wieku zawikłaniami finansowemi. Bohater tonie w Njagarze, ścigany na łodzi przez rywala, wściekłego Teksańczyka! Zakończenie pełne efektu!

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— W ubiegłym tygodniu przedstawiono na scenie lwowskiej po trzykroć z rzędu wyborną komedję p. Zaleskiego *Przed ślubem*. Dla braku miejsca obszerne sprawozdanie musieliśmy odłożyć do numeru następnego.

— Znany nasz historyk p. Henryk Schmith przygotownje odpowiedź, na pamflet A. Walewskiego.

— We Lwowie zawiązało się Towarzystwo dla muzyki instrumentalnej, którego dyrektorem jest p. Jan Dobrzański.

— Pani Bogdani „Napojem Miłośnym" zakończyła szereg swoich gościnnych przedstawień. Na miejsce jej przybyła pani D'Este Sadowska, której pierwszym występem była „Lucja z Lamermooru." Z występu tego nie podobna wnioskować o głosie artystki, widocznie bowiem była mocno niedysponowaną.

—Numer okazowy nowego codziennego czasopisma „Goniec Lwowski" pojawił się już na widok publiczny. Jak z programu nakreślonego w króciutkiej odezwie na wstępie i z treści tego numeru wnosić można, będzie to „Kurjer Polski" w szerszych nieco zarysach. Jedno więc przynajmniej z tych pism nie będzie miało racji bytu. Albo może, jak w starej operetce francuskiej: „Ceci tuera cela!"

— Dnia 19 z. m. w niedzielę nastąpiło w Stanisławowie uroczyste odsłonięcie pomnika Maurycego Gosławskiego. Pomnik ten postawiono na cmentarzu kosztem komitetu zawiązanego w tym celu roku zeszłego. Po wielu poszukiwaniach odnaleziono to miejsce, gdzie przed laty kilkunastu za inicjatywą p. A. G. a kosztem hr. Miączyńskiej stanął krzyż na mogile wieszcza. Miejsce to znajduje się na samym kraju cmętarza, tam gdzie grzebano zbrodniarzy i więźniów stanu! Odsłonięcie odbyło się z wielką uroczystością: — z nabożeństwem, w obecności władz miejscowych, oraz licznego zgromadzenia Stanisławowian, gości i przedstawicieli prasy.

Pomnik składa się ze skały, na szczycie której stoi krzyż rzeźbiony, opleciony cierniowym wieńcem. Na przedniej ścianie wykuty orzeł, otulający skrzydłami kask ułański, od spodu zaś osłonięty znakami wojennemi; niżej wykute popiersie Gosławskiego, a pod niem napis złotemi głoskami:

Maurycy Gosławski
ur. 5 Października 1802 r.
zm. 18 Listopada 1834 r.
Cześć popiołom jego!

a jeszcze niżej czworowiersz z pieśni Maurycego:

„Ludu mój, ludu sponiewierany!
Budujesz ciągle mogiły, krzyże
Aż na rożaniec Pan łzy twe zniże
I sam omyje piekące rany.

— Lwów wzbogacił się nowym zakładem fotograficznym p. Edmunda Rembeckiego, Warszawianina. Zakład ten otwarty przy ulicy Sykstuskiej obok dyrekcji poczt, dostatecznie poleca się prześliczną swoją wystawą, na której prawdziwie artystycznie wykonane fotografje można podziwiać.

— W Nowym Yorku i w Chicago ziomek nasz, warszawianin, p. Tomasz Krajewski rozpoczął wydawnictwo pisma w języku angielskim, poświęconego wyłącznie sprawom kolejowym. Nosi ono tytuł: Railroad Gazette.

— Dnia 25go Września odbyło się pierwsze przedstawienie w nowo wybudowanym teatrze poznańskim. Program składał się z uwertury napisanej przez p. Jareckiego na uroczystość otwarcia stałej sceny w Poznaniu, a wykonanej pod kierownictwem p. Dembińskiego dyrektora orkiestry teatralnej tamtejszej, dalej z prologu p. J. Kościelskiego i komedji Fredry, (ojca) „Zemsta za mur graniczny".

— Restauracja obrazu Murilla „Ś. Antoni" o którego ukradzeniu, uszkodzeniu przez złodzieja i odszukaniu donosiliśmy naszym czytelnikom — postąpiła już tak dalece, że przed upływem miesiąca obraz ten będzie ustawiony na dawnem swem miejscu.

— Komitet florencki jubileuszowej uroczystości Michała Anioła uprasza wszystkie pisma, które pomieściły opis tej uroczystości, o nadesłanie mu odnośnych numerów, aby mógł je pomieścić w Muzeum Michała Anioła na wieczystą pamiątkę. Redakcja *Tygodnia* ofiaruje jak najchętniej pośrednictwo swoje w tym względzie.

— Niedawno pomiędzy innemi staremi malowidłami odkryto w Paryżu portret „Dziewicy Orleańskiej" wykonany za życia jej przez malarza szkockiego, Powera. Francuski minister oświaty wyznaczył komisję do zbadania autentyczności tego interesującego znaleziska i w razie przychylnego zdania do umieszczenia dzieła tego w Luwrze.

— Doroczna belgijska wystawa obrazów, dzieł sztuki otwarta obecnie w Brukselli, obejmuje 1850 dzieł a mianowicie: 1389 obrazów, 206 dzieł rzeźby, 230 rysunków, akwarel, pastelów, miniatur, emalij. malowideł na szkle, miedziorytów itd. i 25 planów architektonicznych. Wystawa tych dzieł wedle narodowości tak się dzieli: z malarzy 146 jest Francuzów, 117 Niemców, 51 Holendrów, 16 Włochów, 10 Anglików, 8 Austrjaków, 5 Szwajcarów, 2 Hiszpanów, 2 Szwedów, 1 Rossjanin, 1 Amerykanin i 453 Belgijczyków; z rzeźbiarzy zaś 93 jest Belgów, 19 Francuzów, 8 Włochow, 3 Anglikow i 1 Niemiec.

Podróże, odkrycia i badania.

— *Golos* pisze, że znany z podróży swoich odbytych po środkowej Azji, p. Kostienko, rozpoczął w celach naukowych podróż po północnej Afryce. Donoszą obecnie, że p. Kostienko wyruszył teraz właśnie z Algieru w celu zwidzenia Sahary, a po powrocie ztamtąd ma zamiar odwidzić Tunis. Pan Kostienko ma listy rekomendacyjne do Beya tunetańskiego, do wielkiego wezyra i ministra wojny. W listy te zaopatrzył go znany podróżnik dr. Nachtigall, który przez długi czas był lekarzem nadwornym Beya. Przy opiece takiej p. Kostienko ma nadzieję zbadać dokładnie Tunis i inne mahometańskie państwa północnej Afryki.

— Telegraf podmorski przez Atlantyk, którego zakładanie właśnie ukończono, otwartym został dla korespondencji z dniem 15. września r. b. po następujących cenach od depesz prywatnych: z Anglji do Kanady w dzień 1 szyl. 10 d. za słowo; w nocy 1 szyl. — do Nowego Jorku, Nowej Anglji i Pensylwanji w dzień 2 szyl. a w nocy 1 szyl. 2 d. od słowa. Taryfa depesz do innych okolic lądu amerykańskiego ułożona wedle tejże samej normy.

— Czasopismo *Scientific American* opisuje doświadczenia, jakie niedawno robiono z liściami olbrzymiego wodorostu, zwanego *Victoria regia.* Ogrodnik botanicznego ogrodu w mieście amerykańskiem Ghent, od dłuższego już czasu zajmuje się wyłącznie badaniem tej rośliny. Liść jej z największą łatwością unosi na powierzchni wody dorosłego chłopca, a nie zanurza się wcale pod ciężarem starszego człowieka. Trzeba było wagi 760 funtów angielskich, aby taki liść zatopić.

Zjawska natury.

— Na Atlantyku szaleją obecnie straszliwe burze ekwinokcjalne. Telegram z Nowego Yorku donosi, że dnia 18. z. m. przez całą dobę srożyła się przerażająca burza na wyspie Galveston w zatoce Meksykańskiej, skutkiem której miasto Galveston zostało częściowo zalane, kilka przystań jest zburzonych i mnóstwo osób utonęło. Dodać należy że miasto Galveston położone jest zaledwie 5 stóp nad powierzchnią morza.

Szkolnictwo.

— Reskryptem Ministerstwa wyznań i oświaty z d. 18. Września r. b. ustanowiono przy lwowskiej Akademji technicznej, czwartą fachową szkołę machin. W r. naukowym 1875—6 będą otwarte pierwsze dwa kursa tej szkoły, której plan nauk dołączony jest do programu Akademji technicznej za rok 1875—6.

— Uroczystość otwarcia uniwersytetu Czerniowieckiego przybiera coraz szersze rozmiary. Najodleglejsze wszechnice, jak Strasburg, Kiel, Göttingen, zapowiedziały przybycie swych reprezentantów. Inne przyszlą tylko adresy. Spodziewają się tam także delegacji od uniwersytetu wiedeńskiego. Sfery rusko-żydowskie niesłychanie przy urządzaniu tej uroczystości czynne.

ROZMAITOŚCI.

— D. 22 z. m. miał miejsce obchód 50-tej rocznicy założenia pierwszej na świecie kolei żelaznej od Darlin-

gtonu do Stokton w Anglji. „Times" z owego czasu ogłosił list „naocznego świadka", który powtórzyły wszystkie naówczas w niewielkiej liczbie wychodzące dzienniki. Warto list ten powtórzyć po 50 latach, by mieć wyobrażenie, jak się to działo za pierwszem puszczeniem w ruch lokomotywy na kolej. List ten brzmi jak następuje: „Mieszkańcy miasta Durham osobliwe oglądali d. 27 września widowisko, które zarazem w dalszych swoich skutkach powinno stać się ważnem dla dobrobytu kraju. Kolej żelazna z Darlingtonu do Stocktonu otwarta została z wielką uroczystością. Mnóstwo wozów ładownych częścią węglem, mąką itd. częścią zaś rzemieślnikami i ciekawymi przybyło, ciągnionych końmi do stóp wyżyny, jaką tworzy pierwsza część kolei. Tu wyprzęgnięto konie. Na wysokości równi pochyłej, której długość wynosi pół godziny, ustawiono trzy machiny parowe, każda o sile 50 koni dla wyciągnięcia w górę wozów. Dwanaście wozów, każdy dwie beczki (40 centnarów) ciężaru mający z węglami, a trzynasty z mąką, pełne przytem ludzi, ile tylko mogło się jako tako pomieścić, dostało się w 8 minut na wyniosłość kolei. Tam powiązano wszystkie wozy jeden za drugim a na przodzie przyczepiono ruchomą machinę parową, która miała je ciągnąć. Inne jeszcze wozy przyczepiły się do tego pociągu, a między niemi wóz na którym siedziała komisja i akcjonarjusze przedsiębiorstwa. Wóz ten nazwany „Experience", którym mają potem jeździć podróżni, jest to pewnego rodzaju furgon wiejski, w którym osoby siedzą naprzeciw siebie po bokach: jest w nim miejsc na 18 osób. W ogóle ruchoma machina parowa ciągnęła 34 wozów, z których jeden wiózł muzykę. Wszystkie wozy pełne były ludzi i przystrojone chorągwiami, a na nich różne napisy, między niemi też godło: „Periculum privatum, utilitas publica". Na dany znak pociąg ruszył przy okrzykach widzów, których wielka liczba zebrała się dla przyjrzenia się temu dziwnemu i nowemu widowisku. Pociąg ruszył naprzód do Darlingtonu, gdzie dodano węgli do pieca, a wody do kotła, a potem z wielkim pędem do Stocktonu. Jeźdzcy, którzy gnali na wybornych koniach przez rowy i płoty nie mogli mu dostać kroku. (!) Ciężar ciągniony ruchomą machiną parową, wynosił 80 tonn, a przytem około najmniej 700 osób. Tam gdzie spadek jest największy, pociąg przebiegał 15 do 26 mil ang. na godzinę". List powyższy jest jedyną pamiątką pierwszej próby jazdy na pierwszej kolei żelaznej.

— Ze świeżo wydanych w Londynie zapisków jednego z żeglarzy w okolice podbiegunowe wyjmujemy następujące ciekawe opowiadanie: „Bryg nasz spoczywał na kotwicy w północnej Grenlandji, na wysokości wyspy Sutherland, otoczonej naówczas rozbitemi już krami. Nieprzyjazne wiatry, pędzące ogromne masy lodu przez zatokę, zmusiły nas do rzucenia kotwicy w bezpiecznem miejscu, i oczekiwania bez ruchu na pomyślniejszą pogodę. Wśród tego robiliśmy częste wycieczki na foki, nieraz nawet z wielkiem szczęściem. Ale szczytem naszej ambicji było spotkać się z niedźwiedziami, których wprawdzie wiele już widzieliśmy, dotąd jednak nie mogliśmy się nigdy do nich zbliżyć na odległość strzału. Cała załoga z prawdziwą tęsknotą mówiła o polowaniu na te potwory, tylko Jan Frenze, stary nasz cieśla okrętowy, trząsł na to znacząco głową i mruczał, że niejednemu podobna żądza już na złe wyszła. O prawdziwości tego zdania mieliśmy się aż nadto prędko przekonać. Pewnego dnia oznajmił nam czatownik z bocianiego gniazda, że na wielkiej przestrzeni lodu, pomiędzy naszym okrętem a wyspą Sutherland, znajduje się całe stado fok. W mgnieniu oka spuszczono „kutter" i czterej strzelcy: porucznik, doktor, majtek nazwiskiem Forberg i ja, z dubeltówkami w rękach siedliśmy nań i wkrótce przybyliśmy do owej masy lodowej. Za nami dążyli w drugiej łodzi czterej majtkowie z kucharzem i „Piątaszkiem", Eskimosem, będącym przy nas na okręcie w charakterze przewodnika i tłumacza. Z trudnością wdrapaliśmy się na lód i zbliżyli pod dobrym wiatrem w dwóch łańcuchach ku fokom; pierwszy składaliśmy my, czterej strzelcy, drugi zaś czterej majtkowie z kucharzem i Piątaszkiem. Wszyscyśmy pełzli na brzuchu, starając się ukryć za nierównościami wystających brył lodowych. W planie naszym było, że najprzód każdy z nas wybierze sobie własny cel i wypali, a następnie druga linja odetnie fokom odwrot i uderzy na nie z pikami, karabinami i drągami. Plan ten wybornie się udał. Zbliżywszy się z dwóch stron na odległość może 70 kroków do fok, wypaliliśmy i położyli ich jedenaście; kilka zaś postrzelonych uciekło. Następnie spotkaliśmy drugie stado i znowu z tuzin padło ofiarą, i wreszcie trzecie, składające się z piętnastu sztuk, którym odwrot do morza pragnęliśmy odciąć. Łodzie nasze zbliżyć sie nie mogły do lodu, fale bowiem rozbijały się zbyt gwałtownie o ostre ściany bryły na której się znajdowaliśmy, rzucono więc tylko z nich liny, za pomocą których zdobycz naszą wciągnięto na łódź i na drugą mniejszą łódkę. Ta druga pomieścić nie mogła więcej jak tuzin fok i odpłynęła, aby wnet przybyć próżna po resztę zwierząt przy których na straży od złodziejskich lisów zostawiliśmy dwóch z pomiędzy majtków, Corca Billa i Nantucketa Jerry. My sami zaś tymczasem pociągnęlismy dalej długim łańcuchem po lodzie w nadziei że napotkamy znowu stado fok. Tak idąc doszliśmy wreszcie do brzegów wysepki, i wdrapaliśmy się na nie. Wśród tego doktor, znajdujący się nieco w tyle, strzelił do foki, która ranna tylko będąc, rzuciła się w wodę i płynęła jużto nurkując, już pojawiając się na wierzchu, przez mały kanalik, pomiędzy masą lodową i wysepką się rozlewający. Nie chcąc stracić zdobyczy, już niektórzy z nas biegli brzegiem w zamiarze strzelania na nowo, gdy nagle powstrzymał nas okrzyk porucznika: Stójcie! stójcie! Niedźwiedź biały! Spojrzałem w kierunku wyciągniętej ręki porucznika Jarella i ujrzałem na skraju lodów niedźwiedzia ostrożnie schodzącego w morze, rzucającego się spokojnie w pław i zbliżającego się do foki, która widocznie ciężko ranna, z trudnością płynęła. Jakby zmówieni rzuciliśmy się wszyscy w mgnieniu oka na ziemię, w nadziei, że niedźwiedź pochwyci swoją zdobycz a następnie wyjdzie na wysepkę lub na lód dla pożarcia jej i da nam sposobność do strzału. W istocie za kilka chwil niedźwiedź zbliżył się do foki, chwycił ją zębami i pociągnął pod wodę. Przez chwilę oboje zniknęli; wkrótce jednak o sto kroków może dalej na skraju wysepki, w największym wirze pokazał się niedźwiedź, wyciągnął łup swój na brzeg i spokojnie zabrał się do niego. Najbliżej zwierza znajdował się majtek, nazwiskiem Firthi, i jak tylko ujrzał go siedzącego posunął się ku niemu z rodzajem brawury. Mając tylko zwyczajny muszkiet nabity kulą, widocznie zbytnią ilością łyków rumu rozzuchwalony, zbliżył się aż na odległość piętnastu kroków do niedźwiedzia, który się nie ruszył z miejsca, ani uczty swojej nie przerwał, ale spoglądał na śmiałka błyszczącem, chytrem okiem. Naraz zagrzmiał wystrzał. Firthi wypalił do niedźwiedzia, który chwycił się natychmiast zębami za ranę, wydał dziki pomruk, wyprostował się i zostawiając zdobycz, rzucił się na napastnika, zajętego właśnie nabijaniem na nowo muszkietu. Na widok rozdrażnionego zwierza, stracił nasz majtek głowę, wziął nogi za pas i nie oglądając się, co sił pędził ku nam. Niedźwiedź ścigał go tak żywo, że już, już prawie miał go pochwycić. W trwodze Firthi rzuca muszkiet, aby mu lżej było uciekać, i to go ocaliło. Niedźwiedź zatrzymał się, obwąchał broń, przegryzł łożysko, i zapuścił nawet w lufę zęby kilkakrotnie, tak że wyraźne wgłębienia pozostały. Potem rzucił się znowu za majtkiem, który z kolei pozbywał się czapki futrzanej, rękawic, chustki i uciekał. Przy każdym z tych przedmiotów zwierz zatrzymywał się przez kilka sekund, rozdzierał je łapami i gonił dalej. Tymczasem naturalnie myśmy powstali, pobiegli na spotkanie niedźwiedzia, i na odpowiedni dystans ja i doktor posłaliśmy mu obiedwie kulki strzelb naszych. Wówczas zwrócił się przeciwko nam i zmusił nas do cofnięcia się ku towarzyszom, którzy z kolei strzał za strzałem sypali. Dopiero jednak po dziesięciu może wystrzałach, zatrzymał się niedźwiedź, zawahał, ryknął kilkakroć wściekle, pokazał nam zęby, obrócił się i zmykać począł. Ale wówczas myśmy za nim poszli w pogoń. Eskimos nasz spuścił ze sfory cztery psy swoje, które przypięły się natychmiast do niedźwiedzia i zatrzymały go. Gdym na nowo nabił strzelbę swoją i przybiegł na miejsce ogólnego zebrania towarzyszy, już „misio" leżał, przeszyty strzałami i przybity do ziemi włócznią Eskimosa. Był to prawie dorosły samiec, którego olbrzymie kły i łapy po śmierci jeszcze respekt w nas budziły. Jeszcześmy z tego nie ochłonęli, gdy nagle zagrzmiały strzały w stronie, kędyśmy zostawili majtków przy fokach na straży. Natychmiast Forberg, doktor, ja i Piątaszek rzuciliśmy się w tym kierunku. Dobiegłszy do miejsca kędy masa lodowa stykała się z brzegiem wysepki, ujrzeliśmy jednego z majtków, bez tchu pędzącego ku nam, a za nim w niewielkiem oddaleniu w pościgu starą niedźwiedzicę z niedźwiedziątkiem. Nieborak wrzeszczał na całe gardło i wymachiwał okropnie rękami, skoro nas zoczył. Ponieważ jednak na lodzie jeszcze się znajdował, nie mogliśmy mu nic pomódz, ustawiliśmy się tylko tak, ażeby zwierzęta przyszły nam prosto na strzał. Wyznaję jednak otwarcie, że na widok potężnej starej niedźwiedzicy, serce mi mocniej uderzyło i położenie nasze niezbyt przyjemnem się wydało. Skupiłem jednakże całą siłę mojej woli i krew zimną i zawołałem na majtka, w którym poznałem Amerykanina, Nantucketta Jerry, aby zboczył i starał się z lodów na wysepkę spuścić. Ale przerażony nieborak nie zrozumiał słów moich i pędził prosto na mnie, stojącego najbliżej, stawiając mnie w niemożności strzelenia do niedźwiedzi, bez ranienia go. Już chciałem cofnąć się nieco ku moim towarzyszom, ażeby mieć lepszą pozycję, gdy nagle Jerry pośliznął się, upadł i z przeraźliwym krzykiem zniknął. Stara niedźwiedzica, oddalona od niego naówczas o dwanaście krokow najwięcej, zatrzymała się i schyliwszy łeb poczęła wietrzyć. W tejże samej chwili wziąłem ją dobrze na cel w piersi i wypaliłem, a jednocześnie zmierzywszy do młodego, przepędziłem mu kulę przez żebra. Obadwa zwierzęta sposoczyły się, ryknęły i w mgnieniu oka rzuciły się na mnie, któremu nic nie pozostawało, jak rejterować się w stronę moich towarzyszy i wśród tego z jak największą starannością a pośpiechem nabijać. Tymczasem zanim oba niedźwiedzie zsunęły się z lodu, ślizgając się, spuścił Eskimos psy swoje i poszczuł je na niedźwiedzicę. Pierwszego, którego dosięgnąć mogła, położyła jednym ciosem potężnej swojej łapy na ziemię, ale w tejże samej chwili dostała od Forberga kulę w kark, która ją na chwilę ubezwładniła. Wśród tego ja zdołałem nabić i założyć piston — co w chwili takiego wzburzenia było najtrudniejszem zadaniem — i widząc obiedwie bestje napierające na mnie, poczęstowałem niedźwiedzicę kulą w pierś, synaczka jej zaś w bok po raz drugi, i cofnąłem się znowu. Nigdy jednak nie zapomnę żałośnego i wściekłego razem ryku matki, gdy ujrzała niedźwiedziątko, mogące mieć najwięcej cztery miesiące, na ziemi. Podłożyła łeb podeń, ażeby je podnieść, ale nie mogło się już utrzymać na nogach. Wśród tej czynności doktor i Forberg wypalili do niej czterma kulami z odległości 40 kroków. Na chwilę potoczyła się, wnet jednak porwała się znowu i przebiegła po nas z kolei oczyma, niepewna, na którego ma się naprzód rzucić. Był to moment największego niebezpieczeństwa, wszyscy bowiem zajęci byli właśnie nabijaniem; każdy z nas byłby zgubionym, gdyby w tej minucie niedźwiedzica była nań uderzyła. Ale psy tego się popisały. Strzeliliśmy raz znowu i jeszcze raz; tymczasem także i towarzysze nasi nadbiegli. Niedźwiedzica była zgnębiona i broniła się już tylko psom łapami. Jednakże gdy Piątaszek nadbiegł, aby ją dobić dzidą swoją, niedźwiedzica porwała się znowu, chwyciła zębami za dzidę i wyrwała ją z rąk Eskimosa. Ale tu w tejże samej chwili zabrzmiały dwa strzały porucznika Yarella, ugodziły ją w piersi i położyły na ziemię. Nadbiegły na to kucharz wpędził jej jeszcze à bout portant kulę w ucho i wtedy dopiero, drgając, skończyła. Wróciliśmy wkrótce na okręt straciwszy raz na zawsze ochotę do walki z niedźwiedziami. Nantucket Jerry, który ścigany przez niedźwiedzicę zniknął, wpadł w szczelinę szeroką w lodzie, i to go ocaliło. Znaleźliśmy go na dnie jej ze złamaną nogą."

Treść Nr. 40.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).